

Tadeusz Niebrzegowski

Cierpienie i ból doznanych krzywd

Wspomnienia z Sybiru (pierwsza wersja - Kraków, dnia 15 maja 2002 roku)



Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Tadeusza Niebrzegowskiego.

Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 2.5 Polska. Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji należy przejść na stronę <http://creativecommons.org/licenses/by-nd/2.5/pl/>.

Opracowanie techniczne: Centrix.pl (<http://www.centrix.pl/>)

[Sybiracy.pl](http://sybiracy.pl)

2007-05-20

Spis treści

Spis treści.....	2
Wprowadzenie	3
Agresja i okupacja Polski przez wojska niemiecko-sowieckie	5
Droga na Sybir.....	9
Pobyt na zesłaniu	25
Czas nadziei.....	66
Cierpienie i śmierć najbliższych mi osób w mojej rodzinie.....	69
Dość katorgi i powrót do normalności	82
Powrót do Polski.....	88
Sieroctwo.....	93

Wprowadzenie

Długo zastanawiałem się czy wydobyć na światło dzienne listy mojej mamy z Sybiru, pisane do rodziny pozostającej w Siechieniewszczyźnie, której mimo wszystko udało się, że nie została wywieziona na zesłanie. Czym to było podyktowane, że jednych wywieziono, mimo że byli dziećmi a innych nie.

Właśnie w tych wspomnieniach o cierpieniach matki z małymi dziećmi, starałem się dociec prawdy oraz przyczyny tak okrutnego postępowania sowieckich władz okupacyjnych. Aby bardziej unaocznić tragizm ludzi deportowanych w lutym 1940r., zamieściłem dwa listy obcych mi osób z woj. poleskiego i wołyńskiego z książki pt. ***W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłano***, w celu porównania z naszym tragicznym losem. Zależało mi na tym aby w miarę dokładnie naświetlić wszystkie tragiczne sytuacje i przeżycia związane z tą pierwszą lutową deportacją, jej okrucieństwa i skutki. W dostępnej literaturze krajowej, wyszukiwałem ciekawe fragmenty odnośnie wywożenia i pobytu tam w bardzo ciężkich warunkach rodzin deportowanych w północne rejony ZSRR. Następnie najbardziej interesujące ciekawostki umieszczałem w swoim opracowaniu dla porównania z sytuacją mojej rodziny na zesłaniu, której i ja byłem członkiem a jednocześnie ofiarą tej lutowej deportacji w 1940r. Była ona zaliczana do kategorii czwartej, tzw. specprzesiedleńców-osadników i specprzesiedleńców uchodźców, których - na mocy zawartych wcześniej pomiędzy NKWD a ZSRR umów - przekazano do ich dyspozycji do pracy. Ludzie ci zostali osadzeni w zdecydowanej większości na północnych obszarach leśnych ZSRR w zamkniętych osadach o charakterze specjalnym, zwanych specposiołkami. Znajdowały się one pod ścisłą kontrolą pracowników NKWD, zaś ich mieszkańców obowiązywał zaostrożony rygor oraz normy pracy. Osoby te były formalnie pozbawione większości praw obywatelskich, zaś ich pobyt regulowały odrębne przepisy.

Tragizm zimowego transportu towaru ludzkiego i pobyt tam pięcioletni nad Północną Dwiną w warunkach polarnych w zimie, opisywała w listach również moja mama, siostra oraz kuzynki: Kazia i Antosia Glinkówne. Również zamieściłem w swoich wspomnieniach pamiętnik mojej siostry napisany prawdopodobnie w lecie 1944r. Opisuje tam siostra oprócz drogi na Sybir, także nasz tam pobyt oraz agonię i śmierć poszczególnych członków mojej rodziny, tj. dwóch braci: Czeška i Wenka oraz

rodziców. Oprócz zamieszczenia oryginalnych opisów listów i pamiętnika, również zamieściłem swoje spostrzeżenia z opowiadania siostry, kuzynek i innych osób.

Końcowe fragmenty mojego wspomnienia, to poszczególne analizy życia moich członków rodziny od dawna nieżyjących, tj. braci, rodziców i siostry. Ostatnie zagadnienie, to sieroctwo siostry i moje w późniejszym życiu po powrocie do Polski i jego skutki.

Agresja i okupacja Polski przez wojska niemiecko-sowieckie

Wojska sowieckie wkroczyły na terytorium Polski nad ranem 17 września 1939 roku, rozpuszczając fałszywe pogłoski, że idą rzekomo na pomoc Polsce bić Niemców. Stało się to w chwili, gdy kampania polsko-niemiecka była jeszcze w pełnym toku, a 25 dywizji polskich trwało w walce z niemieckim najazdem. Nad Bzurą, na zachód od Wisły, między Wisłą a Bugiem i na zachód od Lwowa toczyły się gwałtowne bitwy potężnych zgrupowań sił obu stron, a Warszawa i Lwów, Hel i Modlin broniły się skutecznie przed nieprzyjacielem. Był to czas, gdy rozmach niemieckiego natarcia począł maleć, a opór polski twardnieć, kiedy wydłużone linie komunikacyjne niemieckiego natarcia przestały działać sprawnie, a zaopatrzenie zaczęło zawodzić i wreszcie kiedy działania wojenne przenosiły się na wschodnie obszary polskie, gdzie stan dróg utrudniał w dużym stopniu ruch zmotoryzowanych jednostek niemieckim, zwłaszcza wobec nadchodzącej pory deszczowej.

Jaki był los i położenie ludności polskiej na ziemiach za Bugiem i Sanem?. Po obu stronach linii demarkacyjnej z 28 września 1939r. zapanowały odmienne warunki polityczne i społeczne. Skomplikowana sytuacja wytworzyła się na ziemiach zajętych przez wojska sowieckie. Najpierw wprowadzono dla tych ziem nowe nazewnictwo związane z ich nową przynależnością państwową. Byłe województwa północno-wschodnie Rzeczypospolitej /w tym również woj. białostockie/ otrzymały nazwę Zachodnia Białoruś, a województwa południowo-wschodnie otrzymały nazwę Zachodnia Ukraina. Natomiast rejon Wilna z pół milionową ludnością przekazany został przez władze sowieckie - Litwie, która w 1940r. została zagarnięta i wchłonięta przez ZSRR. Wkrótce jednak nastroje wśród ludności polskiej zaczęły się systematycznie pogarszać w miarę nasilania się objawów morderczej polityki stalinowskiej. Nastąpiły pierwsze nieporozumienia przy określaniu narodowości. Władze sowieckie stosowały przymusową ukrainizację, czy też rusyfikację ludności polskiej w prasie, szkołach i urzędach. Szczególnie mocno dawały się we znaki nadużycia NKWD i masowe aresztowania nawet ludzi zaangażowanych przed wojną przeciw rządowi sanacji - nie tylko socjalistów, ale również działaczy jednolitifrontowych. Aresztowano nawet rewolucyjnych i ludowych literatów, popierających władzę sowiecką. Wystarczył donos sąsiada, anonim osobistego wroga,

chęć połączenia się z rodziną, przebywającą na ziemiach okupowanych przez Niemców, aby znaleźć się na listach przeznaczonych do deportacji w głąb ZSRR, czyli na Sybir. Oficjalnie mówiło się o oczyszczaniu zaplecza czy też terytorium pogranicza. Wywożenie ludności polskiej przebiegało w kilku falach. W pierwszym rzędzie objęło ludzi bezpośrednio związanych z byłymi władzami państwa polskiego, a więc resztę oficerów i podoficerów Wojska Polskiego, żołnierzy, policjantów, legionistów, uczestników wojny polsko-sowieckiej w 1920r., urzędników. Następnie przesiedlano księży, nauczycieli oraz leśników a nawet chłopów z rodzinami. Ludzi uznanych za niebezpiecznych umieszczano w obozach pracy, tzw. łagrach. Innych osiedlano w odległych terytoriach ZSRR, tj. Syberia, rejom morza Białego, Komi, Kazachstan. Liczbę wywiezionych i pomordowanych Polaków z Kresów wschodnich trudno jest dokładnie ustalić. Wynosiła ona prawdopodobnie gdzieś ok. półtora miliona osób. Na terytorium zajęтым przez władze sowieckie, tj. na powierzchni 53% kraju, mieszkało 13 milionów obywateli polskich. Należy przy tym nadmienić, że Stalin zastosował wobec Polaków takie same metody, jak w okresie *czystki* wobec obywateli sowieckich. Wtedy to zginęło tych obywateli ok. 35 milionów. Ludność polska przesiedlana w głąb ZSRR spotykała się z dużym objawem sympatii i życzliwości, czego nie można było powiedzieć o władzach i ich strażnikach porządku publicznego. Gwałtowna zmiana warunków bytowych i klimatycznych, powodowała dużą śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci. Najgorsze były przesiedlenia z Małopolski Wschodniej, gdzie masowo wywożono rodziny z dziećmi w mroźną zimę 1939/40. Dzieci w nie opalanych towarowych wagonach zamarzały na kość, które to wyrzucano przez małe okienka jako bryły lodu, jak też palono je w lokomotywach. Na terytorium Małopolski Wschodniej sprawa ta musiała być szybko załatwiona, aby móc zrobić plebiscyt na wiosnę 1940r. prawie bez udziału Polaków. Właśnie pierwszym posłem na tych ziemiach została działaczka komunistyczna Wanda Wasilewska.

System sowiecki nie mógł trwale panować nad narodami i kulturą, aby utrzymać się przy władzy, musiał zamieniać narody w bezkształtną masę steroryzowanych niewolników. Praktyka sowiecka w stosunku do narodu polskiego, poza masowym wymordowaniem jeńców, może się poszczycić również szeregiem innych ludobójczych działań okrutnego planu zniszczenia narodu polskiego. Podczas pierwszej okupacji wschodnich obszarów Polski, dokonanej w wyniku wspólnej z Hitlerem agresji w roku 1939. Moskwa potrafiła w ciągu niespełna dwu lat władania w Polsce, wywieźć na

wschód przeszło półtora miliona najwartościowszych obywateli spośród miejscowej ludności, obliczonej ogółem na 13 milionów tam mieszkających. Skazano więc na zagładę, a w najlepszym przypadku na wegetację lub na wynarodowienie przeszło 10% ludności wschodniej Polski.

Za tą zbrodniczą ludobójczą praktyką stały sowieckie prawa i teorie, mało znane, niedoceniane, lub zbyt lekko traktowane przez opinię narodów Zachodu. Mało kto wie i zdaje sobie sprawę, np. spośród ministrów czy generałów, urzędników i oficerów, członków parlamentów, czy sędziów, literatów, dziennikarzy, farmerów czy kupców w krajach zachodnich, że wszyscy oni są w rozumieniu sowieckiego prawa przestępcami, jako *słudzy kapitalizmu* i *wrogowie ludu*. A przestępstwa ich przeciw *ojczyźnie światowego proletariatu* są dokładnie wymienione w 58 paragrafie sowieckiego kodeksu karnego dotyczącego *kontrrewolucji*, który w pojęciu Moskwy obowiązywał na całym świecie i mógł być zastosowany wszędzie tam, gdzie miała być sowiecka władza.

I tak kodeks karny Związku Sowieckiego ze swoją zasadą odpowiedzialności zbiorowej i sądownictwem administracyjnym, pozwalającym rządowi za pośrednictwem NKWD pozbawić wolności miliony obywateli i zapełnić nimi obozy pracy przymusowej ze swoim paragrafem o kontrrewolucji, pozwalającym uznać za zbrodniarza każdego pod wszelkim pozorem i wreszcie ze swoją zasadą działania wstecz i obowiązywania na obszarze wszystkich państw i całej kuli ziemskiej, jest znakomitym narzędziem niszczycielskiej, ludobójczej polityki sowieckiej. Taką operacją niszczenia kierowniczych żywiołów narodu podbitego przez komunizm nazywa się *obeżholowanie*, czyli pozbawienie społeczeństwa duchowego przywództwa.

Pierwiastki ludobójczych planów znajdujemy w klasycznej idei walki klas w wydaniu leninowskim, czyli bezwzględnej eksterminacji kierowniczych warstw społeczeństwa, jako *burżuazji*, za pośrednictwem *dyktatury proletariatu*. Znajdujemy je również w stalinowskiej teorii narodowości z jej zasadą *kultury narodowej co do formy, a socjalistycznej w treści*, stanowiącej wygodną teoretyczną podstawę do niszczenia każdego narodu poddanego władzy sowieckiej.

Podstawą formalną 4 akcji deportacyjnych obywateli polskich przez sowieckie władze był Rozkaz NKWD ZSRR Nr 001223 z 11 X 1939r. wraz z załączonym do niego *Instrukcją o trybie przeprowadzania deportacji antysowieckiego elementu*. Treść wspomnianego rozkazu i instrukcji sugerowała, że przymusowy wywóz dotyczy tylko *antysowieckiego elementu*, którego wysiedlenie z miejsca jego zamieszkania *stanowi zadanie o dużej wadze państwowej*. W instrukcji *o trybie przeprowadzania operacji deportacji antysowieckiego elementu* zalecano, aby każda akcja odbywała się *bez hałasu i paniki, tak aby nie dopuścić do żadnych wystąpień i innych ekscesów nie tylko ze strony deportowanych, lecz również pewnej części otaczającej ludności, wrogo usposobionej do władzy sowieckiej*. Na podstawie specjalnych spisów wywożono uznanych za *element antysowiecki* zarówno miejscowych mieszkańców mających obywatelstwo polskie, jak i obywateli polskich z centralnej i zachodniej Polski zbiegłych we wrześniu 1939r. na wschód w obawie przed represjami hitlerowskimi.

Droga na Sybir

Dokładna liczba obywateli polskich wywiezionych do ZSRR nie jest znana i zawsze była zaniżana przez władze sowieckie. Deportacje odbywały się wedle z góry ustalonego planu. Oddziały żołnierzy i miejscowej NKWD budziły zwykle swe ofiary nad ranem lub w środku nocy, dawały im niewiele czasu na spakowanie się, a następnie odwoziły bardzo szybko na najbliższą stację kolejową, gdzie czekały już wagony towarowe. W wagonach tych deportowani spędzać mieli niekiedy po kilka tygodni, zamarzając w lutym albo ginąc w gorącu w czerwcu. Brakowało im jedzenia i picia, a dziura w środku wagonu zastępowała wszelkie urządzenia sanitarne. Mężczyźni, kobiety i dzieci, starcy, niemowlęta i ciężko chorzy - nikogo nie zwalniano od deportacji - podróżowali razem. Zdarzało się, że umarłych ciała długo jechały w wagonie, zanim wyrzucono je na którejś stacji kolejowej, a najprościej było je wziąć i spalić w lokomotywie.

Kiedy i kogo oraz w jakich warunkach wywożono na wschód z ziem zajętych we wrześniu 1939r. przez Armię Czerwoną? Spod okupacji sowieckiej można było pojechać na tzw. **białe niedźwiedzie** właściwie w każdej chwili. Bez przerwy szły transporty skazańców do obozów pracy, tzw. łagry. Ale kiedy mowa o deportacjach to ludzie, którzy przeżyli te czasy, mają na myśli przede wszystkim 4 wielkie wywózki - lutową, kwietniową i czerwcową w 1940r. oraz czerwcową tuż przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej w 1941r. W ciągu jednej nocy pustoszały wtedy całe wioski i ulice miast. Ze wszystkich stron zaczęły zjeżdżać furmanki eskortowane przez milicję załadowane wysiedlonymi rodzinami. Obraz był straszny. Wiele dzieci zamarzło na śmierć po drodze do stacji. Krzyk matek był tak przeraźliwy, że można było dostać obłądu.

Już od stycznia 1940r. szykowano tabory kolejowe do wywozu ludzi - kratowano okna w wagonach towarowych, zaopatrywano je w deski, aby wybudować prycze, zabijano drzwi z jednej strony wagonu, zostawiając otwór 15.centymetrowy ze wstawionym korytkiem dla załatwienia potrzeb osobistych oraz wstawiono piecyki, jak tylko były. Wysyłano po kilka składów z poszczególnych stacji węzłowych takich właśnie pociągów dziennie, a jeden taki skład liczył 60 wagonów. Na przykład w lutym 1940r. przez kilka dni, prawie w 100% tabor kolejowy był używany tylko do transportu

ludzi na wschód i ona była najstraszniejsza. Wtedy było bardzo zimno a mróz sięgał do -30°C i w miarę jazdy pociągu na wschód a później na północ, temperatura obniżała się nawet do -50°C . Wywożono ludzi według listy i o tym, kto się na niej znajdował, decydowały zebrania miejscowych aktywistów. Każdy, kto miał wtedy na kogoś oko lub zazdrościł cudzego dobra, ten donosił. Deportację przeprowadzono według schematu sporządzonego w 1939r. przez zastępcę Berii, generała NKWD Sierowa. Nic dziwnego, że relacje zesłańców - choć zawierające różnice, które często decydowały o późniejszym szansach przeżycia - powielają ten sam schemat: **10 lutego o godz. 3⁰⁰ w nocy wdarło się do mieszkania 2 oficerów NKWD, 3 żołnierzy, 2 cywilnych wywiadowców, dając rodzinie 15 min. czasu na ubranie się i spakowanie. Mnie kazano położyć się w kącie na podłodze, żona nie miała czasu nic spakować, bo musiała ubrać troje dzieci. Zabrali nas w tym co mieliśmy na sobie, a był trzaskający mróz Na nasze prośby odpowiedziano: Sowiecki Sojuz da wam wszystko, a rzeczy wasze będą wysłane za wami.** Przeważnie nad ranem przychodziła do domu grupa uzbrojonych ludzi, z reguły ktoś miejscowy w cywilu i paru umundurowanych. Zbierali rodzinę w jednym pomieszczeniu i rozpoczynali rewizję w poszukiwaniu broni. Przy okazji mnóstwo różnych przedmiotów znika w kieszeniach rewidujących - przede wszystkim zegarki, pieniądze i biżuteria. Kierujący grupą operacyjną dawał czasem skazanym do podpisania jakiś papier - decyzję władz sowieckich o przesiedleniu albo spis pozostawianego inwentarza z obietnicą, że po sprzedaniu reszty gospodarstwa uzyskana kwota zostanie odesłana właścicielowi do nowego miejsca zamieszkania. Rzeczywiście wielu ludzi podobno dostawało potem jakiejś drobne kwoty, na które mogli sobie kupić na zesłaniu kilkanaście kilogramów mąki albo kartofli. Następnie, zostawiając ojca rodziny pod strażą - odwróconego twarzą do ściany albo na klęczkach w kącie izby - wydawano polecenie przygotowania się do drogi. Na spakowanie dawano od 15 minut do 2 godzin. Czasem nie pozwalano nic zabrać ze sobą. Niekiedy informowano ludzi, że będą przesiedleni do powiatu sąsiedzkiego albo do ZSRR. Zabierano według listy imiennej wszystkich bez względu na wiek i stan zdrowia. Ludzie wpadali w rozpacz, bo o to wyrwanym ze snu, zmieniano nagle koniec życia takiego, jakim je znali, nie mówiąc, co ich czeka w przyszłości. W pierwszej deportacji wywożeni byli ludzie w potwornych warunkach, ginący z głodu jeszcze w pociągach towarowych, kierowani byli głównie w dorzecze Dwiny Północnej do obwodu archangielskiego, do republiki Komi, do obszaru Niemieckiego i północnej Syberii.

Cierpienia psychiczne w związku z tym, że wywożono ludzi w nieznane, to tylko jeden aspekt udręki zesłańca. Wywózka od pierwszej chwili była dla wielu wyrokiem śmierci. Ponieważ podróż odbywała się przy bardzo niskich temperaturach, w nieprzystosowanych wagonach do przewożenia ludzi, bez urządzeń ustępowych. Szereg ludzi już w czasie transportu zachorowało na zapalenie płuc i choroby żołądkowe. I tak według wypowiedzi niektórych uczestników deportacji lutowej w 1940r. na Sybir:

Pamiętam ówczesny mroźny dzień, kiedyśmy ze swej miejscowości dojechali do stacji, to sowieci chodzili po wagonach nosząc pod rękami zmarłe dzieci niemowlęta, pytając się czy - zamierzysz rebiat niet.

W czasie podróży na Sybir wyrzucano co dzień z transportu po kilka trupów z głodu zmarłych i zimna.

W czasie podróży nie wolno było wyjrzeć oknem, jeść dawali bardzo źle, a wody tylko raz na dzień i bardzo mało. Jedliśmy śnieg z dachu. Z naszego wagonu zmarło trzy osoby.

Wywożono ludność w niewiadomym kierunku, w czasie wielkich mrozów, w wagonach nie ogrzewanych i w głodzie, które zmarły w wagonie, zostały wyrzucone w czasie biegu pociągu prosto w śnieg, lub do rzeki pokrytej lodem. Takich przypadków było ponad 10.

Sama podróż odbywała się w zaplombowanych wagonach towarowych bez światła i bez powietrza przez 40 dni. W wagonie takim zamykano około 50 osób. W takim wagonie jedni przychodzili na świat, inni umierali z powodu ciężkich warunków.

Nic więc dziwnego, że po wywózce lutowej, strach padł na wszystkich. Po wsiach ludzie palili lampki przed świętymi obrazami i prosili o opiekę, sprzedawali wszystko i do znajomych uciekali, myśląc że uda im się oszukać los. Panika i dezorganizacja życia osiągnęła takie rozmiary, że władze zakazały pod karą mówić o dalszych zsyłkach.

Jak już wspominałem wywózka lutowa była najbardziej tragiczna. Nigdy potem, ani w kwietniu, ani w czerwcu 1940 i 1941 roku nie umierano tak masowo w czasie

podróży. Ludzie cierpieli od upałów, z powodu braku wody, chorowali na biegunkę, ale z reguły na miejsce zesłania dojeżdżali, oczywiście ledwo żywi. Okazuje się jednak, że wśród ludności, która wyszła z Rosji z generałem Andersem, zdecydowaną większość stanowili właśnie zesłańcy z lutego. Nie ma powodu aby sądzić, że kwietniowa i czerwcowe wywózki objęły znacznie mniejszą liczbę osób. Skąd ta różnica? Wywózki różniły się od siebie nie tylko porą roku, ale i składem społecznym ludności. W lutym uderzono przede wszystkim w wieś, bo wywożono osadników, służbę leśną, policję, niższą warstwę urzędniczą i rodziny chłopskie. Byli to ludzie w dużej części oswojeni z życiem w naturze i pracą fizyczną. Nie jest też bez znaczenia, że ich zabrano w zimie, bo choć na początku cierpieli w podróży bardziej niż wywożeni w innych terminach, to jednak mieli ze sobą ciepłą odzież. Zesłańcy zabierani wiosną czy też latem, w panice i strachu, mogli o kożuchu czy ciepłym palcie zapomnieć. Ich szanse przeżycia zimy na przymusowym osiedleniu znacznie się zmniejszyły.

Jaki był stosunek władz NKWD do Polaków? Była to armia licząca ok. 5 milionów ludzi, która była wykonawcą woli Stalina. Armia ta składała się przeważnie z przestępców kryminalnych, którzy chętnie się tym i więzienie uważali za jedyną szkołę wychowawczą. Wkraczali wszędzie, gdzie tylko cokolwiek zauważyli sprzecznego z ustrojem bolszewickim. Jak zgłodniały wilk nie patrzy czy to jest zwierzę, czy człowiek, rzuca się na swoją ofiarę. Nie patrzy również, czy to jest nędzarz i analfabeta, inteligent i człowiek na wysokim stanowisku, wojskowy czy cywil, szeregowiec czy generał, jeśli ma wątpliwości, a nie ma podstawy aby móc aresztować. Każdy NKWD-sta był głęboko przepełniony nienawiścią do każdego innego państwa i uważał, że inny ustrój niż bolszewicki nie może istnieć, gdyż jest to największe zło na świecie. Szczególną nienawiścią palali w stosunku do Polaków. Ciągłe mówili, że Polska panów i obszarników nigdy nie powstanie. Na każdym kroku starali się naruszyć godność osobistą i narodową. Wyśmiewali się z władz polskich i Rządu polskiego. W chorobach nie decydował lekarz, lecz NKWD-sta.

Według wyliczeń W. Wielkowskiego w monografii wydanej w 1956r. w Londynie, deportowano w lutym 1940r. 220 tys. osób, które załadowano do 110 pociągów; podczas drugiej akcji w kwietniu 1940r. wywieziono 320 tys. osób w 160 pociągach, podczas trzeciej akcji w czerwcu 1940r. - 240 tys. osób i ostatniej czwartej

w czerwcu 1941r. - 200 tys. osób. Deportacją objęto ok. 1,5 mil. obywateli polskich, a których do 1 X 1942r. zmarło z głodu i wycieńczenia ok. 415 tysięcy.

Plan deportacji wprowadzony został w życie pod hasłem usunięcia z terenów wcielonych do Związku Sowieckiego **elementów socjalnie niebezpiecznych i antysowieckich**. Plan ten miał na celu całkowite wyniszczenie deportowanej ludności. Świadczą o tym warunki, w jakich odbywała się deportacja.

Warunki sanitarne transportów jadących z deportowanymi do Rosji oraz warunki więzienne i obozowe urągały najniezbędniejszym potrzebom ludzkim. Dwu, trzy a nawet sześciotygodniowa podróż odbywała się w nieopalonych wagonach bydlęcych w czasie ostrej zimy. Głód, choroby, brud, wyczerpanie zdziesiątkowały zesłańców już w czasie transportu. Ofiarą przeważnie padały dzieci, starcy i chorzy. Transporty z deportowanymi w zimie 1940r. były skierowane w całości do lasów na północy w obwodach: archangielskim, wołogodskim, kirowskim, gorkowskim, mołotowskim, swierdłowskim, irkuckim, nowosibirskim i omskim, jak również do Komi ASSR, Marijskiej ASSR i Krasnojarskiego Kraju.

Uznana za element podejrzany i antysowiecki moja rodzina została umieszczona na liście planu deportacji 10 lutego 1940r. W nocy zostaliśmy w brutalny sposób wyrzuceni z własnego domu. Ojca wcześniej aresztowano i wywieziono w nieznanym kierunku. Samotnej matce z małymi dziećmi /ja miałem 2 lata, dwaj bracia mieli 6 i 8 a siostra 13 lat. Kazano się spakować w ciągu 2 godzin, również nie podając, gdzie mamy jechać i na jak długo. Mama była mocno zdenerwowana i cała roztrzęsiona, dlatego dużo potrzebnych oraz praktycznych rzeczy nie zabrała, co się później zemściło, bo musieliśmy marznąć i głodować. Wujek Bolek¹ - brat mamy - który mieszkał razem z nami, również się pakował bo myślał, że i on zostanie wywieziony. Jego jednak na liście nie było i wrócił z powrotem do domu. Gdyby z nami pojechał, na pewno byłoby nam łatwiej, bo miałby kto pracować, mielibyśmy wtedy większą szansę na przetrwanie. Zanim wujek Bolek wrócił z powrotem do domu, już ludzie zdążyli

¹ Bolesław Fajkowski – urodzony w 1902r., syn Antoniego i Franciszki z d. Niebrzegowska, kawaler, nauczyciel i gospodarz w Siechieniewszczyźnie. Do niego były kierowane wszystkie listy z Sybiru. Po wojnie mieszkał z rodziną brata Ludwika w Odechowie k/Łęczycy i tam zmarł w 1962r. W Jego kuftrze po śmierci znaleziono wszystkie listy z Sybiru mojej mamy, siostry, kuzynek i ojca mego z łagru. Były również tam oryginalne metryki urodzenia moje i mego rodzeństwa oraz metryka aktu ślubu moich rodziców z 1922r.

rozkraść nasz pozostawiony dobytek, a nawet zabierali się do rozbierania naszego domu i zabudowań.

Jako członkowie rodziny, razem z nami zostały wywiezione nieletnie 4 siostry cioteczne, tj. Kazia, Antosia, Regina i Marysia Glinkównie². Kazia była najstarsza i miała wtedy 16 lat, a Antosia i Regina były prawie rówieśniczkami mojej siostry Geni. Najmłodsza Marysia była rówieśnicą mego najstarszego brata Czeška i miała wtedy 8 lat. Oboje rodzice Glinkowie umarli, jedno w 1936 a ich ojciec na początku roku 1939. Nam najlepiej się powodziło, to obowiązkiem moralnym moich rodziców było zaopiekowanie się sierotami, tj. młodszym rodzeństwem. Starsze rodzeństwo, tj. brat i 2 siostry zostały po stronie niemieckiej, ucząc się w szkołach.

Po długich latach cudem ocalały listy ze Sybiru pisane do rodziny przez moją mamę, siostrę i ojca z łagru oraz listy dwóch kuzynek Kazi i Antosi Glinkównien. Ocalał również pamiętnik napisany przez moją siostrę w lecie 1944r. tuż przed zabraniem nas do Domu Dziecka w Szwarzysze k/Gorek.

O okolicznościach, w jakich nas transportowano do pociągu w Łyszczycach oraz warunkach panujących w wagonie towarowym, pisze w liście dość dokładnie moja mama Franciszka Niebrzegowska³ do swojej siostry Geni Fajkowskiej⁴ i brata Czesława Fajkowskiego⁵ z Wardy na Sybirze w dniu 3 listopada 1940r. Cytuję fragment listu

² Glinkównie – po śmierci ich rodziców, tj. Franciszka i Marianny w 1936 i 1939 roku, rodzice moi wzięli na wychowanie 4 najmłodsze córki siostry mamy: Kazimierę, Antoninę, Reginę i Marysię. W lutym 1940r. jako członkinie rodziny, zostały deportowane razem z nami na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim. Trzy kuzynki starsze umarły tam na zesłaniu w 1941r. Została najmłodsza Marysia, która wróciła w kwietniu 1946r. do Polski jako repatriantka z Polskiego Domy Dziecka w Szwarzysze w obwodzie gorkowskim razem ze swoimi kuzynami Tadeuszem i Genowefą Niebrzegowskimi. Najmłodsza Marysia zmarła 18 maja 2004r. w Krakowie.

³ Franciszka Niebrzegowski z d. Fajkowska – ur. w 1900r., córka Antoniego i Franciszki z d. Niebrzegowska, w lutym 1940r. deportowana wraz z czterema własnymi dziećmi w wieku: 2, 6, 9 i 13 lat oraz czwórką sierot w wieku: 9, 11, 13 i 16 lat. Sieroty to dzieci po siostrze Mariannie Glince. Deportacja nastąpiła do Wardy w obwodzie archangielskim nad rzeką Dwiną Północną. Żona Bolesława i matka Tadeusza, Wenantiego, Czesława i Genowefy Niebrzegowskich. Zmarła 16 kwietnia 1942r. z wycieńczenia na atak serca, połączony z silnym wylewem krwi do mózgu.

⁴ Genowefa Fajkowska – urodzona w 1905r., córka Antoniego i Franciszki z d. Niebrzegowska. Od 15. roku życia była w zakonie. Ciocia Genia odebrała nas z Gostynina, tj. mnie, moją siostrę Genię i kuzynkę Marysię Glinkównę, repatriantów z Polskiego Domu Dziecka w Szwarzysze w obwodzie gorkowskim i przywiozła do klasztoru w Warszawie na Marymoncie 18 kwietnia 1946r. Zmarła w kwietniu 1985r. w Warszawie i pochowana została na cmentarzu na Żoliborzu.

⁵ Czesław Fajkowski – urodzony w 25 sierpnia 1908r., syn Antoniego i Franciszki z d. Niebrzegowska. Od 15. roku życia był w zakonie księży Marianów. W lipcu 1939r. otrzymał święcenia kapłańskie. Od 1946 do 1980 roku z przerwami był przełożonym w nowicjacie w Skórcu k/Siedlec. Zmarł 18 lipca 1992r. w Skórcu i tam został pochowany na tamtejszym cmentarzu.

mamy, w którym pisze jak nas aresztowano oraz o warunkach w czasie transportu w nieznane:

Kochana Geniu, siostrzyczko droga! - Posiołek-Warda⁶ 3 listopada 1940r.

Cóż to się dzieje, że od Was nie mam żadnej odpowiedzi. Boże Kochany, że każdy ode mnie daleko. Wszyscy o mnieście zapomnieli. Czy listy nie dochodzą. Co się dzieje teraz. Piszę do Bolka, a on wyśle do Was, może dojdzie. Kochana siostrzyczko, może Ty mi co pomożesz. Może z jaką pomocą mi przyjdiesz z duchową, czy umysłową. Przeważnie proszę Cię o modlitwę do Boga, bo tylko chyba jeden Bóg może wybawić stąd mnie. Geniu kochana, nie wiem czy Bolek Ci napisał o naszym wyjeździe. Mojego Bolka zabrali do aresztu pierw, jeszcze na tydzień przed moim odjazdem. W nocy wpadli bojców czterech z Pochubiatycz, krzyku narobili, ręce do góry. Obrabowali wszystkich i wszystko. Wyznaczyli czas 2 godzin do wybrania się. Mróz okropny. Musowo trzeba, nie ma żadnej wymówki. Z tego wielkiego strachu przeraziłam się okropnie, że nie mogłam się zabrać. Wzięłam to, co nic niewarte, co mi wcale niepotrzebne. Ale to co było mi potrzebne i jest mi potrzebne i teraz muszę się obywać i biedować bez tych rzeczy, to nie wzięłam, bo z tego wszystkiego zapomniałam. Przytomność straciłam. Kochana Geniu, dwie furmanki wyszykowali, wsadzili nas i wiozą. Droga kiepska, zimno straszne. Zanim zajechaliśmy, przemarzliśmy okropnie. Zajechaliśmy do Łyszczyz, dzieci płaczą z zimna, pisk straszny. Wszystko pomarżnięte. Rzeczy mi Bolek pownosił do wagonu. Oni wszystkich spisali, a ja weszłam do wagonu najpierw z dziećmi, bo okropnie przemarli. Bolkowi powiedzieli, żeby się wrócił do domu. Przykro mi się zrobiło. Jeszcze gorzej, że on nie jedzie. Żal okropny, że wprost nie mało serce mi pękło. Z żalu płakałam okropnie. Nie pamiętam, żebym ja kiedy w swoim życiu tak płakała. Przeczuwałam swoje nieszczęście. Za parę dni zachorował mi Tadzio⁷ okropnie na zapalenie płuc. Całą drogę wiozłam trupa. Ale przywiozłam go na miejsce. Bańkami, kompresami wyleczyłam go za Boską pomocą.

⁶ Posiołek-Warda – małe osiedle na prawym brzegu dolnej Dwiny Północnej w pow. chołmogorskim w obw. archangielskim, miejsce naszego tam pobytu na zesłaniu od lutego 1940 do lipca 1944 roku.

⁷ Tadeusz Niebrzegowski – urodzony w styczniu 1938r., syn Bolesława i Franciszki z d. Fajkowska. Deportowany z rodziną 10 lutego 1940r. na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim. W lecie 1944r. został umieszczony wraz z siostrą Genowefą, już jako pełne sieroty w Polskim Domu Dziecka w Szwarysze w obw. gorkowskim. W kwietniu 1946r. jako repatriant wrócił wraz z siostrą i kuzynką do Polski. Jest żonaty i ma dwoje dzieci. Mieszka w Krakowie od 1948r. Brat Wenantiego, Czesława i Genowefy.

Cytuję fragment listu z podróży najstarszej z 4 kuzynek, 16-letniej Kazi Glinkówny, która pisze dość dokładnie o warunkach, jakie panowały w wagonie bydlęcym w czasie transportu dwutygodniowego oraz jazdy samochodami ciężarowymi z Archangielska do Wardy. List był adresowany do dziadka A. Fajkowskiego⁸ i wujostwa Fajkowskich⁹ zamieszkających w Siechieniewszczyźnie k/Brześcia n/Bugiem.

Kochani! Dnia 22 VI 1940r. Dzięki Bogu jesteśmy wszyscy zdrowi. Paczkę wczoraj otrzymaliśmy, za którą bardzo dziękujemy. List otrzymaliśmy i pieniądze od wujostwa Fajkowskich jeszcze dawniej, dziękujemy bardzo, lecz przepraszam, że zaraz nie odpisałam, gdyż nie miałem czasu i mogłam lecz teraz piszę wszystko od początku. Do Brześcia było jechać jako tako, tylko zimno i wody brakowało, bo nie bardzo chcieli wypuszczać, żeby nabrać śniegu, jechało rodzin 7. W niedzielę w Brześciu przeładowaliśmy się na drugi pociąg. Tam wagony były większe ale wpakowali nas 13 rodzin, 66 osób i tak w takiej ciasnocie jechaliśmy do Archangielska samego. Gdy wyjechaliśmy z Brześcia, to nadzieją pocieszałam się, że może nie do Rosji, że może Pan Bóg nie pozwoli na to, że się coś stanie, lecz to jednak stało się. Z początku wypuszczali częściej się załatwiać, były tylko 2 piecyki żelazne, a wszyscy chcieli coś ugotować. Brakowało nieraz wody nawet do picia. Bo po wodę wypuszczali tylko raz na dzień a o myciu to nie było mowy w takiej ciasnocie, więc w ubraniu dokuczało wszystkim. W niektórych miejscach pociąg szedł równo, a w niektórych bardzo trząsł, to woda się wylewała i garki się thukły, błoto się narobiło. Ze trzy czy ze cztery razy dawali zupełną kaszę, po której mało nie każdy odchorował i wylewali. I kilka razy dawali chleb po pół kilograma na osobę. Załatwić się też zawsze nie wypuszczali tylko 2 razy na dobę. Więc też oknem wylewali i na ulicę. Gdy przejechaliśmy granicę było dużo lasów i góry, gdzieś tam znajdowała się wioska i miasto a tak lasy i lasy. Sowietów tak jak i u nas, jedni ubrani lepiej, drudzy gorzej, jednym dobrze a drugim bieda. Tak jechaliśmy do samego Archangielska na stację. W Archangielsku staliśmy

⁸ Antoni Fajkowski – urodzony w 1865r., mąż Franciszki z d. Niebrzegowska. Babcia Franciszka Fajkowska – żona dziadka Antoniego zmarła w 1922r. w Siechieniewszczyźnie. Dziadkowie mieli ośmioro dzieci: Ludwik, Marianna, Aniela, Stanisława i Franciszka – bliźniaczki, Bolesław, Genowefa i Czesław, było 26 wnuków. Jako kolonista w 1919r. kupił działkę Antoni 3 włuki ziemi, tj. ok. 50 hektarów. W 1923r. podzielił majątek między dzieci. Najwięcej dostało się moim rodzicom, bo aż 15 ha. Innym swoim dzieciom dał znacznie mniej i dlatego między dorosłymi była niechęć i zazdrość. Dziadek Antoni Fajkowski zmarł w marcu 1945r. i został pochowany w Siechieniewszczyźnie w grobie swojej żony Franciszki.

⁹ Wujostwo Fajkowscy – to najstarszy syn dziadka i babci – Ludwik z żoną. Wujek Ludwik z wujenką byli gospodarzami w kolonii Siechieniewszczyzna. Urodził się w 1893r. a zmarł w 1976r. w Kutnie. Wujostwo miało siedmioro dzieci: Marcelina, Janina, Ryszard, Henryka, Milka, Teresa i Halina.

jakiś czas i szykowaliśmy się na samochody. Najpierw zawieźli nas do klubu i tam byliśmy przez noc i dzień. Dniem krytymi samochodami odwieźli matki z małymi dziećmi a wieczorem na towarowe samochody niekryte zabrali rzeczy i starszych. A mróz był bardzo, trudno było wytrzymać w butach. Tak jechaliśmy przez noc i pół dnia aż dojechaliśmy do Wardy. A ciocia z dziećmi przyjechała na drugi dzień. To było we środę a w sobotę poszłam do roboty pilenia drzewa. W pociągu przez cały czas Tadzio chorował bardzo ciężko na zapalenie.

Dla pokazania pełnej tragedii deportacji mojej rodziny na Sybir, cytuję fragment pamiętnika mojej siostry, napisany w lecie 1944r.:

Pociąg wyruszył nocą w podróż nieznaną. Pędził bez końca jak szalony. Ciasno było i nie zawsze trzeba było siedzieć na narach. Wagony opalano po całych dniach i nocach, jednak w nocy nieraz było bardzo zimno, czasami był taki dym, że kto spał i gdyby go nie obudzono to mógłby się udusić. Najmłodszy mój brat miał dwa lata, na trzeci dzień po wysiedleniu z domu zachorował na zapalenie płuc. Podróż pociągiem trwała dwa tygodnie. Wyruszyliśmy z domu zupełnie bez pieniędzy. Podróż była okropna i w dodatku z chorym braciszkiem. Pociąg szarpał bezlitośnie tak, że stawy gotowane na piecykach rozlewały się z naczyń i był okropny swąd. Tak przeszło dwa tygodnie. Gdy byliśmy już w Rosji domyślaliśmy się, że wiozą nas na Sybir, okropna rozpacz nas ogarnęła, płakaliśmy wszyscy nad swoim niewiadomym ale okrutnym losem. Po czternastu dniach przywieziono nas do miasta Archangielska. Wygruzono nas do samochodów, samochodami dojechaliśmy do ludowego domu i tam weszliśmy wszyscy pod nadzorem rosyjskim. Tam nasza rodzina odczuła po raz pierwszy rzeczywisty głód, bo byliśmy zupełnie bez pieniędzy. Na drugi dzień o trzeciej godzinie po południu rozpoczęło się sortowanie. Matki z dziećmi miały jechać krytymi samochodami a pozostała ludność miała jechać na furmankach i na samochodach nie krytych. Przed wieczorem wyruszyliśmy my dzieci wraz z mamusią w podróż. Jechaliśmy całą noc. Jedna pani akuszerka jechała z nami, proponowała mamusi ażeby położyła braciszka i pozwoliła mu lekko skonać, bo był śmiertelnie chory. Przed wschodem słońca mróz ścisnął, samochody stanęły trzy kilometry przed wyznaczonym miejscem, bo benzyna w motorze zamarzła. Gdy doszliśmy do wyznaczonego dla nas miejsca mieliśmy po raz drugi odmrożone ręce i nogi. Mamusia kilka razy wróciła do samochodu. Ubranie wcale nie było praktyczne do sybirskich mrozów.

Zgromadziliśmy się wszyscy razem oprócz najstarszej siostry ciotecznej. Braciszkowi troszeczkę zrobiło się lepiej, zaczął więcej powietrza chwytać, odczuliśmy wielkość radość ale głód okropnie ścisnął nam żołądki i tak przeszedł cały dzień do końca. W sali było bardzo ciasno, jakkolwiek przespaliśmy się. Na drugi dzień rano pożerał nas głód i w dodatku nęcza. Po południu przyszło kilkadziesiąt furmanek i większa część ludności wyruszyła w drogę, między innymi i my także wyjechaliśmy do miejscowości Warda znajdującej się osiem kilometrów, gdzie oczekiwała nas cioteczna siostra, która przyjechała wcześniej z rzeczami samochodem nie krytym. Na spotkanie nam wyszła cioteczna siostra i przyniosła trochę chleba. Zjedliśmy po kawałku chleba po dwudobowej głodówce. W końcu przyjechaliśmy na czteroletnie miejsce, jak mówiono nam. Gdy zapytaliśmy się kiedy wrócimy, to odpowiadano nam, że wpierw umrzemy niż wrócimy do Polski. Zamieszkaliśmy w małym pokoju a było nas 21 osób.

Oprócz naszej rodziny i 4 kuzynek, wywieziono jeszcze z naszej wsi-kolonii również inne rodziny, jak: Redowie¹⁰, Mikołajewscy¹¹, Krasuscy¹² oraz drudzy Niebrzegowscy¹³. Ci ostatni to duża rodzina brata ojca stryja Władka. W skład tej rodziny wchodził oprócz stryja Władka i stryjenki Marii oraz ich synów szesnastoletniego Felka i czternastoletniego Heńka, również dwie ich zamężne córki z rodzinami. Najstarsza to Antonina Antonowicz¹⁴ z mężem Antonim i dziećmi: ośmioletnią Helenką, sześciolatnim Tadeuszem i dwuletnim Zdzisławem. Druga córka

¹⁰ Redowie - rodzina żony Ludwika Fajkowskiego, którzy również byli deportowani ze wsi w lutym 1940r. na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim.

¹¹ Mikołajewscy - rodzina mieszkająca w naszej wsi, która była deportowana 10 lutego 1940r. na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim.

¹² Krasuscy – obca rodzina z naszej wsi, która również była deportowana razem z nami 10 lutego 1940r. na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim.

¹³ Drudzy Niebrzegowscy – rodzina stryja Władka, brata mego ojca. Oni również byli deportowani 10 lutego 1940r. na Sybir do Wardy w obw. archangielskim. Stryjek zmarł na zapalenie płuc w 1942r. W roku 1944r. wróciła stryjenka Maria Niebrzegowska z synami do Polski i zamieszkała w Radzynie Podl. Żyła w latach 1889-1973. Syn stryjenki Felek po powrocie do Polski w 1944r. wstąpił do wojska i zginął w Kołobrzegu podczas walk o wyzwolenie tego miasta 18 marca 1945r. w wieku 21 lat. Jego brat Heniek wcześniej wstąpił w 1943r. do Wojska Polskiego na terenie ZSRR. Urodził się w 1926r. zginął z rąk Ukraińców w Szczecinie. Ostatni raz kuzyna widziałem w styczniu 1951r., gdy przyjechał do Krakowa aby moją siostrę i mnie zobaczyć.

¹⁴ Antonowicze – Antoni, mąż kuzynki Antoniny z d. Niebrzegowska, żył w latach 1900-1973. Jego żona Antosia żyła w latach 1911-1999. Oboje umarli w Londynie. Antosia to najstarsza córka stryja Władka i mając 16 lat była chrześną mojej siostry Geni, razem z wujkiem Bolkiem Fajkowskim. Żyje jeszcze najstarsza i najmłodsza córka mojej kuzynki z Londynu. Oni również byli wywiezieni na Sybir w lutym 1940r. i z Armią Andersa przedostali się do Iranu a później od 1948 roku zamieszkali na stałe z rodziną w Anglii.

o parę lat młodsza od swojej siostry, to 25-letnia Aleksandra Mazurek¹⁵ z mężem Stasiem i pięcioletnim synem Józkiem. Podobno męża Oli Mazurek nie było na liście wywozowej, a wtedy właśnie był na wsi u teściów razem z rodziną. Żona z dzieckiem była na liście a on miał tylko jechać do Brześcia i tam wysiąść. Widocznie w czasie przesiadki w tym mieście zdecydował się, że pojedzie dalej, aby towarzyszyć rodzinie. Pozostałych rodzin nie znam i tylko była wzmianka w liście mamy do jej brata Czesława. Być może, że było dużo więcej wywiezionych rodzin z naszej miejscowości, ale nic mnie o tym nie wiadomo.

Jak z powyższego wynika w najgorszej sytuacji była moja mama, bo na tydzień przed deportacją został aresztowany ojciec i sama musiała decydować o wszystkim, a zawsze była przyzwyczajona czynić to wspólnie z mężem. Wywiezienie matki z małymi dziećmi bez ojca, który zapracowałby na minimum utrzymania swojej rodziny aby przetrwać było celowe, żeby poszczególni członkowie rodziny umierali z głodu i wycieńczenia. Pierwszym dowodem na to były skandaliczne warunki, w jakich byliśmy wywożeni. W czasie ostrej zimy i wyjątkowo przy bardzo wysokich mrozach, były wywożone rodziny z małymi dziećmi i w miarę jazdy na wschód a później na północ w kierunku morza Białego, zimno to jeszcze bardziej zaczęło się potęgować dochodząc do -50⁰C. Jak pisze siostra w pamiętniku, nawet zamrzła benzyna w silniku, a ludzie musieli iść parę kilometrów o głodnym żołądku odmrażając sobie nogi i ręce dwukrotnie. Pierwszą ofiarą w rodzinie miałem być ja, bo już na trzeci dzień podróży w nieznane zachorowałem na ciężkie zapalenie płuc i o tym fakcie pisze zarówno moja mama oraz kuzynka, jak również i moja siostra w swoim pamiętniku z 1944r.

W roku 2001 dostałem list od mojej starszej kuzynki, która mieszkała wraz z rodziną po sąsiedzku w Siechieniewszczyźnie k/Brześcia n/Bugiem, która w 1940r. miała 12 lat. Na moją prośbę opisała miejsce mego i jej urodzenia oraz co widziała kuzynka i Jej rodzina w chwili naszej deportacji na Sybir. Kuzynka to córka siostry

¹⁵ Mazurki – Stanisław urodzony w 1904r. i Aleksandra urodzona w Niewęgłoszu w 1915r. Aleksandra to druga córka stryja Władka. Ich też wywieziono razem z nami 10 lutego 1940r. na Sybir do obwodu archangielskiego. Udało im się wyjechać w lecie 1941r. z Wardy. Na skutek kalectwa Stasia nie przyjęto Jego do wojska. Do końca wojny przebywali w kołchozie w Kazachstanie. W ramach repatriacji wrócili do Polski w 1946r. Mieszkali w Legnicy. Wszyscy już nie żyją: Stasio zmarł w 1974, Ola zmarła w 1984 a ich syn zmarł w 1975r.

mojej mamy - Teresa Jarosińska¹⁶ z d. Mazurkiewicz. Dużo widziała i słyszała, bo Jej rodzina mieszkała w odległości 50 m od naszych zabudowań w naszej wsi-kolonii Siechieniewszczyzna. Nasze położenie budynków w kolonii było piękne, okalające zagajnik ze strony zachodniej i północnej, a wschodnia i południowa strona, to nasz duży sad o pow. 1 hektara, gdzie było posadzonych w latach dwudziestych XX wieku 1000 drzew owocowych. Dalej była droga wylotowa i sad sąsiadów. Dalej następna droga wylotowa do kolonii. W drugą stronę droga prowadziła do lasu i dalej do miasta Wysokie Litewskie odległe o 10 km. Na naszym podwórku rosła czeremcha mocno już pochylona, na którą wchodziły moja siostra i nasza kuzynka Teresa i tam było bujanie i kukanie. W stodole obie kuzynki skakały z belki na siano, która dalej. Na dole na klepisku stała kołyska koloru wiśniowego, a w niej mały Tadeusz. Widocznie było to lato 1938r., bo wtedy miałem już pół roku i jeszcze byłem w kołysce. Dalej pisze kuzynka, ***jak się mieszka blisko to coś niecoś widać***. Boże Narodzenie w 1939r. już było smutne, bo wojna i chcąc upiec jakieś ciasto, to bez cukru lub z sacharyną i dlatego drożdże nie chciały rosnąć. Aby ciasto urosło musiała wtedy iść kuzynka do mojej mamy po pół łyżeczki cukru. Cytuję fragment listu kuzynki z 15 I 2002r.

10 luty, śniegi, tunele na podwórku, cisza - wschód słońca, mróz 30° C na szybach barany z lodu ale ja stałam przy wschodnim oknie i wierciłam palcem w tym lodzie i przez ten mały otwór zobaczyłam i wołam u cioci bolszewiki z karabinami, saniem, konie. Mama i tata do tej szczeliny, nie mogą zrozumieć, co to jest? W domu zamieszanie - ojciec wyszedł w podwórko. Nic nie można domyśleć się, po głowach różne domysły i wyjechali. Ktoś przyszedł ze wsi i mówi, wylicza kogo zabrali, że to wywózka na Sybir. We wsi popłoch i rozpacz, bo to i nas czeka, ludzie coś myślą szykować się. A już po za naszą oborą, stodołą i waszą oborą i stodołę Białorusiny rabują. Wujek Bolek razem był zabrany ale go wrócili, bo nie było go na liście, chciał jechać ale nie pozwolili. Jak wrócił do domu nie pamiętam, ale już było rozgrabione przez Białorusinów. Tak, że odnalazł krowę i czapkę wojskową.

Wtedy odwiozło nas NKWD saniami do stacji Łyszczycy w odległości 5 km. Mama i ojciec kuzynki poszli do naszego domu, gdy już nas nie było. Ciotka wzięła ze ściany obraz św. Barbary a wujek jakieś dokumenty. Po wojnie, gdy wróciliśmy

¹⁶ Teresa Jarosińska – urodzona w 1928r., córka Antoniego i Anieli Mazurkiewiczów z d. Fajkowska. Były przed wojną bardzo żyte z moją siostrą, bo nasze rodziny sąsiadowały ze sobą. Wyszła za męża w 1953r. za Józefa i mieszkają w Strykowie k/Łodzi. Mają pięcioro dzieci i kilkunastu wnuków.

z siostrą do kraju, wujek i ciocia Mazurkiewicz¹⁷ mieszkali już w Smolicach k/Strykowa i wtedy oddali dokument odnośnie aktu własności ziemi moich rodziców na 15 hektarów, napisany i zatwierdzony notarialnie w 1923r. Dalej opisuje kuzynka w liście:

Krowy ryczały, pies wyl, kot miauczał, było to przerażające. Pretsedatek zrobił zebranie we wsi i tak powiedział: Eta byli proriwniki Sowietsoje Sojuza i nada było ich w wiesti, a po polsku: Takimi byli przeciwnikami, że należeli do koła osadników, mieli jakieś ulgi w podatkach i to po sowiecku było przestępstwo. Robiła się bieda, nic nie można było kupić, a jak się kupiło to w kolejkach. Niemcy wkroczyli do wsi w czerwcu 1941r. i była wielka radość, że może się zmieni. Mówili wtedy, jak wywiozą to na zachód a nie na wschód.

Dla pełnego obrazu naszej tragedii rodzinnej, jaka nastąpiła 10 lutego 1940r. i w czasie pobytu w bardzo trudnym i niezdrowym klimacie, przytoczę dla przykładu fragmenty dwóch listów z książki: ***W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłano***, gdzie piszą autorzy o podobnej do naszej sytuacji rodzinnej. Cytuję fragment listu dziecka kilkunastoletniego Edwarda M. z powiatu kosowskiego z woj. poleskiego, napisanego w Teheranie po ich wyprowadzeniu przez Armię Andersa.

Rok 1939, 17 wrzesień Wielka wolność S.S.R.

Przyszli sowieci do nas wieczorem zaraz zabrali się do ładowania inwentarza, ojca aresztowali, mamusie i wszystkich otoczyli z karabinami, nie dali się ruszyć, zabrali konie, 2 krowy, tak codziennie przychodzili, wyrzucali małych dzieci od lat 2 do 10 na śnieg i mróz. W mieście kupowali co tylko oczy widziały, nawet lekki jeden kupił w spółdzielni i rozkręcił ją, zaczął lizać da czort papiery kakaja gadaść. Osadników mordowali, którego widziałem Bargiłowski J., wyprowadzili do lasu, odcieli uszy, nos, język, oczy wydłubali, rozcieli żołądek i okręcili kiszki razem z nim, oblali naftą, zapalili i powiedzieli, że tak będzie wszystkim, jeżeli nie dadzą karabinów maszynowych tych, których nie było. Jedną osadę za to, że nie chciał oddać broni jeden gospodarz, wybili wszystkich os. Hoszczewo, obraży łamali, nie dali

¹⁷ Mazurkiewicz – Antoni i Aniela z d. Fajkowska, siostra mojej mamy. Mazurkiewicz zamieszkali od 1922r. w kolonii Siechieniewszczyzna. Tam się pobrali i tam sześcioro dzieci się urodziło: Alina w 1920, Adolek w 1922r., Józef w 1924r., Teresa w 1928r., Aleksander w 1930r. i Zenon w 1932r. Po wojnie w 1945r. przedostali się do Polski i osiedlili na gospodarstwie rolnym w Smolicach k/Strykowa. Ciotka żyła w latach 1897-1957 a wujek żył w latach 1895-1963.

odprawiać nabożeństwa za to, że ludność szła do kościoła rozstawili armaty, rozbili kościół, musieli chodzić na mitingi pod bronią, kto szedł dobrowolnie, to nic nie mówili, zabierali wszystkie maszyny od okolicznych osad powiat Kosów Poleski, tak doczekali 10-go II 1940 rano przychodzi gromada bojców na czele z komendantem stojący z miasta wylczy orodzie i sabirais za sorok pięć minut uiezdzaiem, dzieci płaczą, matka zemdlala, mnie przynieśli stary kożuch, kazali się ubierać, związali gorszą pościel, załadowali na sanie, żywności dali tylko tyle co mogło małe dziecko z sobą, powieźli na stację w otoczeniu żołnierzy, załadowali do wagonów co wozili węgiel itp., mróz przeszło 30⁰, opał dali po 3 dniach. W małym wagonie było przeszło 70 osób matek i dzieci, jechali trzy tygodnie do Archangielska, kto zmarł lub zmarł spalili w lokomotywie, jeść dawali po 40 gram chleba i szklanki wody, potrzeby naturalne załatwiali w wagonach, przepychali kijem. Opieki lekarskiej nie było, kto chory to dali kropli walerianowych, natem koniec zawieźli na Posiolek do baraku o 40 m² mieszkało 200 osób, do roboty przyszli i wypędzili na drugi dzień po podróży, powiedzieli tak - eto wam nie Polszcza nada rabotać a jeśli niet nie budziesz kusząc rona wstotowce jest zupa zgotowana z rybek 3 cm długości nie czyszczonej i nie patroszonej, za pół litra trzeba zapłacić było 1 rubel 20 kopiejek, pracowałem w lesie przy łączeniu drzewa w odległości 160 m no pięć rubli trzeba było ztoczyć 8 kub-metry drzewa, kto nie pracował został karany aresztem, moja mamusia spóźniła się na robotę pięć minut to osądzili ją na 3 miesiące, ¼ zarobku za karę lekarz wtedy człowieka badał, jeżeli nie mógł już ręką ruszyć i jak miał gorączkę był zwolniony od pracy, ja mając 35,2⁰ gorączki pracowałem przy drzewie w tartaku ażeby otrzymać 500 g chleba, dla mniejszych dawali 200 g chleba. Komendant powiedział, Ze tu jest koniec waszemu panowaniu. Pierwszą wiadomość o rządzie polskim w Anglii komendant powiedział, że S.S.R. zawojuje jeszcze Anglię tak, że modlitwy nie można było odmawiać, jednego złapali, był to Polak, został osądzony na dwa lata za przeciwstawianie się władzom. Po zawarciu umowy polsko-angielskiej z S.R.R. ludność rosyjska była troszkę lepsza i łagodniejsza ale władze rejonu nie chcąc wydać zaświadczeń po amnestii. Anglia tylko podburza Polaków i ich ciągnie na stracenie, lecz na to nie zezwalali, bo to życie już było straszne w pluskwach i wszach, tego było aż czerwono na ścianach, w szpitalach łąką karaluchy i pluskwy, jeden chory na dezynterię leżał w szpitalu bez przytomności, sowieckie tarakany poogryzali uszy i palce u nóg i rąk, taka była opieka lekarska. W kołchozach nauczyłem się kraść, bo nie było jak z głodu umierać, przyszedłem do miasta, tam myślałem, że kupię chleba,

patrzę ładują trupy pozbieranych po całym mieście zmarłych z głodu, tak że kto ukradł, to jeszcze żył, bo pracując 12 godzin otrzymał 19 dekagram mąki.

Cytuję fragmenty drugiego listu, ale już osoby dorosłej, która miała w chwili pisania 31 lat i nazywała się Genowefa M. m. Wiśniowiec, w woj. wołyńskim. List był napisany w Teheranie, również po wyprowadzeniu Jej przez Armię Andersa:

W roku 1939 po niefortunnej wojnie polsko-niemieckiej i po zajęciu oraz podziale ziem polskich na dwie części, my znajdowali się pod okupacją rosyjską i od tej chwili spadały na nas nieszczęścia za nieszczęściem.

Pierwszym ich planem było nakłanianiem Polaków do głosowania, które miało się odbyć w szkołach lub internatach. Wiadomość ta błyskawicznym tempem objęła wsie i miasta do każdego zakątka dotarła i tam wywołała oburzenie wśród Polaków, lecz pod grozą wywozu i więzienia ludzie musieli głosować.

Dalszym ich planem było rabowanie, które niezwłocznie wykonywali, nie uwzględniając żadnych tłumaczeń ni próśb. Zabierali cały dobytek, na który człowiek pracował, nawet ziemię odbierali, z którą każdy się zrośł.

Jednak to były początki, z biegiem czasu gnębienie stawało się większe, zaczęli robić rewizje, podsłuchiwanie, itp., ludzie chodzili przygnębieni, złamani duchowo i moralnie. Większa część ukrywała się po rozmaitych zakątkach, aby uisć od rąk gnębieli, którzy postępowali z nami jak z największymi przestępcami, gdy udało się im trafić na ślad poszukiwanego.

Pewnej pamiętnej nocy zimowej 10 lutego 1940r., kiedy ludzie spali głębokim snem, jakieś postacie cicho skradali się koło mieszkań z postanowieniem zabrania tego spokoju. U nas w domu również wszyscy spali nie przeczuwając jak wielka groza zawisła nad nami. Ja jedna nie mogłam usnąć, nurtował mną dziwny niepokój, wokoło panowała niezmqcona cisza, tylko zegar miarowo uderzał nigdy niestrudzony i obojętny na wszystko. Wskazówka dochodziła trzeciej w nocy, zegar wydzwonił miarowo trzy razy, a we mnie wzrastał niepokój, który okazał się prawdziwym, bo oto usłyszałam ciężkie stąpanie, uderzenie kolbami i słowa otkrojcie! I weszli ci którzy byli panami naszego życia. Kazali w przeciagu pół godziny przyszykować się do drogi. Z początku nie wiedziałam co robić, zdawało mi się, że to już koniec, ręce bezwładnie

opuściłam lecz nie na długo, bo oto dzieci swym płaczem przypomniały mi rzeczywistość. Spojrzałam ze ściśniętym sercem na drobne dzieci i zaczęłam pospiesznie szykować, co najważniejsze do drogi. Sanie czekały na nas, które nas odwiozły do stacji Krzemieńca, gdzie już byli inni sąsiedzi, których spotkał ten sam los.

Wagony towarowe z zakratowanymi oknami czekali na nas. Rodzina nasza składała się z 14 osób, z tych było 5-cioro dzieci. Po załadowaniu nas w wagony okrążyła nas straż z karabinami aby nie wypuszczać nikogo, tak staliśmy tydzień na stacji. I oto pewnej nocy zaczęła się nasza tułacza podróż z Ojczyzny. Pomimo naszego bólu jechaliśmy z pieśnią na ustach. Nie rzucim ziemi!!... co wywołało u sowietów szyderczy śmiech.

Do Kotłasu zajechaliśmy za miesiąc, dalszą podróż odbywaliśmy saniami, które nas zawiozły do Archangielska, rejonu litwinowskiego i tu był kres naszej wędrówki. Oczom naszym przedstawił się widok nędzy. Baraki służyły nam za mieszkania, pracowaliśmy przy wyrąbywaniu lasu, kto uchylał się od niej lub nie mógł, nie dostawał tych marnych porcji chleba, dzieci wyganiali do szkół. Z powodu marnych warunków ludzie zaczęli umierać co dzień, śmierć szerzyła się więcej, życie stawało się nie możliwe i bez sensu i gdyby nie ta isierka nadziei, którą każdy z nas się łudzi bez celu byłoby życie. Ona podtrzymywała nas na duchu, tak upływały dnie i noce oraz tygodnie i miesiące, modliliśmy się do Pana Boga z przekonaniem, że On jeden nas wybawi i wreszcie doczekaliśmy się chwili amnestii.

Pobyt na zesłaniu

Podróż była tylko wstępem do dalszych nieszczęść. U jej końca zesłańców czekały: brud, nędza, głód, zimno, choroby i niewolnicza praca. Większość z tych, którym udało się przeżyć pomagało sobie sprzedawaniem sztuka po sztuce, skąpego dobytku przywiezionego z Polski. Ponadto, aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, wolno było otrzymywać paczki od rodzin i przyjaciół, choć czasem władze zakazywały wysyłania paczek. Stan zdrowia większości skazańców był fatalny, dużo umierało, wszyscy potrzebowali pomocy. Najczęstszymi chorobami były: dyzenteria, biegunka, awitaminoza spowodowana długim okresem niedożywienia oraz wiele rodzajów malarii i tyfus.

Po przyjeździe deportowanych na miejsce, kazano już na drugi dzień iść do pracy do lasu w tajgę. Było to bardzo ciężkie zajęcie w głębokim śniegu przy wyrębie drzewa, którą okazała się niebezpieczną i katorżniczą pracą. Ludzie o różnych zawodach do tej bardzo ciężkiej pracy nie byli przyzwyczajeni. Miejscowi byli ubrani w ciepłe, lekkie waciaki, czapki z nausznikami, filcowe buty z cholewami powyżej kolan i dobre rękawice mimo, że już byli przyzwyczajeni do ciężkiego klimatu arktycznego. Przyjezdnym takiej odzieży nie dano, bo musieli dopiero na nią zapracować i zapłacić. Mieli tylko cienką odzież, trzewiki lub pantofle i cienkie skarpety a na głowie kapelusze i zwykłe czapki bez nauszników. Od pierwszego dnia obowiązywała norma pracy, od której uzależniano wypłatę. Przez pierwsze tygodnie a nawet miesiące pracowali ludzie-niewolnicy darmo, jedynie aby zdobyć 200 g chleba. Aby wyrobić normę, trzeba było oszukiwać dla przeżycia a jednocześnie narażając się na więzienie.

Omawiając tematykę zatrudnienia deportowanych, to obywatele polscy traktowani byli gorzej niż obywatele sowieccy. Używano ich do prac najgorszych, bez wynagrodzenia i przydzielając żywność w zależności od wypracowania normy. Z reguły nie dopuszczano ich do pracy w przemyśle, rzadziej w kołchozach i sowchozach, częściowo przy budowie trzech linii kolejowych (Archangielsk-Białomorsk, Kotłas-Workuta, Akmolińsk-Kartaty). Natomiast na barkach ludności polskiej oparto całą gospodarkę leśną. Do głównych gałęzi pracy w tej dziedzinie należał: wyręb, zwózka, sztabowanie, ładowanie na traktory i palenie gałęzi.

Po dwutygodniowej podróży dojechaliśmy na miejsce przeznaczenia do Wardy w powiecie chołmogorskim, w obwodzie archangielskim. Była to miejscowość-posiołek nad rzeką Dwiną Północną w tajdze po prawej stronie jej brzegu i oddalona od Archangielska ok. 100 km na południe. Były tam baraki drewniane po byłych skazańcach ukraińskich z lat dwudziestych i trzydziestych, których skazali i wywozili za bunt przeciw władzy sowieckiej. Kazali nam mieszkać w jednym pomieszczeniu w sześć rodzin, gdzie było 27 osób. O tej ilości rodzin w jednym pomieszczeniu pisała moja kuzynka Kazia Glinkówna w liście do dziadka i wujostwa w dniu 13 X 1940r. Według pamiętnika mojej siostry zamieszkaliśmy w małym pokoju, w którym było nas 21 osób. Co jeszcze pisze w pamiętniku o pierwszych i następnych dniach na zesłaniu moja siostra? Cytuję fragment Jej pamiętnika z 1944r.:

W pierwsze dni pobytu w Rosji, rozpoczęły się długie godziny przestawiania w kolejce za chlebem albo też za strawami gotowanymi. Po długich godzinach ciśnięcia się, przeważnie odchodziło się bez niczego, trzeba było się tylko obejść smakiem. W początkach mamusia sprzedawała na żywność i pieniądze ubranie i pościel. Doczekaliśmy się lata, ja z dwoma młodszymi braćmi chodziliśmy na jagody. Sprzedawaliśmy na chleb i inne potrzeby. W tym czasie otrzymywaliśmy z Polski częściowo paczki żywnościowe i pieniądze. Początkowo było dla nas bardzo męczące chodzenie po lasach i bagnach, bo olbrzymie komary i muszki cięły nas okropnie. Mamusia parę tygodni chodziła do pracy, ale praca stanowczo była za ciężka, wcale nie odpowiadała zdrowiu i mamusia zaprzestała pracować, czasami razem z nami chodziła do lasu i tak przechodziły dnie za dniami.

W jesieni otworzyli szkoły, ja wraz z bratem przymuszona byłam chodzić, a tym czasem mamusia ciężko zachorowała, głód zaglądał w oczy, dwaj młodszy braciszczkowie wołali - jeść - a dać nie było co. Mamusia z czasem wyzdrowiała, myśmy w dalszym ciągu musieliśmy chodzić do szkoły, chociaż nauka szła dobrze, bo głód przyciskał żołądek a nie było żadnych uwzględnień.

W tej części pamiętnika i w następnych już siostra nic nie wspomina o losach naszych kuzynek. Jak wynika z listów mamy i Kazi Glinkówny, to już na samym początku zaraz po przyjeździe, 4 kuzynki odłączyły się od nas, czyli nie chciały mieć nad sobą opieki mojej mamy i widocznie chciały żyć na własnym garnuszku, tworząc jakby rodzinę. Były uważane przez wszystkich jako sieroty, którym trzeba pomagać.

Pracowała tylko Kazia a Antosia i Regina chodziły do szkoły razem z moim rodzeństwem, tj. Genią i Cześkiem. Dlaczego taka sytuacja nastąpiła?. Do tej pory jest to tajemnicą i ci co wiedzieli coś na ten temat już poumierali. Według moich przypuszczeń, to prawdopodobnie dużo winy było naszej stryjenki Marii Niebrzegowskiej, która zbuntowała najstarszą z nich, aby odłączyli się od nas. Zalecenia i rady były wydawane od innych obcych ludzi, jak też od dziadka Fajkowskiego listownie, który był oddalony o tysiące kilometrów. Cytuję drugą część listu Kazi Glinkówny do rodziny, na temat warunków życia na zesłaniu z dnia 22 czerwca 1940r.:

Regina w baraku zachorowała też na zapalenie. A Marysia to nie mogły zbadać na jaką chorobę. Na roboty to chodziłam różnej do śniegu i jak śnieg zginął kopaliśmy doły łomami na niedźwiadki, z wody wyciągaliśmy metry z wody, bo zalała teraz, kręciliśmy wicz i sprzątały podwórza. Ciocia chodziła do kręcenia wicz. Komendant przychodzi i koniecznie żeby pisać podanie, to małych wezmą do ochrony, to tam dadzą im życie i okrycie a jak będą ze mną, to będzie im głodno i chłodno. Ja powiedziałam, że nie rozłączym się, jak to niech odwiozą do domu. Jeżeli by brali przymusem to też ja z nimi, dopóki będę mogła to się będę starała byleby nie oddawać. U nas już lato, tylko smutne, bo więcej zimna niż ciepła, lasy już się zazieleniły, borówki i żurawiny zbieraliśmy zeszłoroczne. Na żurawinach Antosia zarobiła 12 rubli. Ja zarobiłam jak czasem jakoś nie zawsze jednakowo płacą. Teraz na wypłatę za 9 dni wzięłam 42 ruble a teraz na jedną wypłatę wzięłam za 11 dni 16 rubli a dziennie na skromne życie to trzeba 5 rubli zarobić dziennie. Jagody w lesie kwitną u nas dopiero, u was pewno jagody już zbieracie. U nas ciągle jedni drugich pocieszają, że jeszcze po wrócim do domu, ale to wątpliwe tylko za wolą Bożą. Co wujek pisał o tych marynarkach i spodniach, to nie przysyłajcie, chodzić możecie w tym co tam zostało, to będzie duży koszt, no i my tu myślimy o żołądku.

Kochany dziadziu proszę doradzić jeżeli by nie było żadnego wyjścia dla nas i groziła by śmierć, to czy ja mam oddać do ochrony czy nie, prosiłabym o doradzenie, bo ja sama nie wiem jak robić. Wujenka Niebrzegowska zapytuje się o swoje gospodarkę, kto tam na niej jest i ją obrabia, prosi o odpowiedź. Na tem kończę zasyłając najserdeczniejsze życzenia od nas wszystkich i do dziadzia i całej rodziny w.Fajkowskich i Mazurkiewiczów.

Proszę przeczytać i podać te kartki do w.Fajkowskich, osobliwie to bardzo długo a ja jak wiecie nie mam czasu i teraz wcześniej chodzim na robotę. Równocześnie prosim o odpis jak najprędzej, co tam słychać i co pisali zza Buga Jadzia oraz Józio.

Brak podpisu.

W następnym liście z dnia 13 października 1940r. do dziadka i wujostwa w Siechieniewszczyźnie w kraju, pisze Kazia Glinkówna w dalszym ciągu o życiu naszej rodziny a szczególnie o swoich siostrach:

Kochany Dziadziu i Wujostwo! Dnia 13 X 1940r.

Już od dłuższego czasu zbierałam się do Was zapisać lecz zawsze się schodziło i nie miałam czasu. Do tej pory dzięki Bogu było jeszcze jako tako, lecz teraz zaczynają się ciężkie chwile. Bo wpierw to jagody, grzyby, trochę się więcej zarobiło i tak się żyło, ale teraz to nie wiem jak my będziemy żyć. Już z tydzień pada deszcz i jest zimno. Tutaj dzieci chodzą do szkoły i Antosia, Regina, Genia i Czesiek są zapisani do szkoły. Genia chodzi, Czesiek chorował, Antosia chorowała a Regina, to biegła po chleb i złamała palec u nogi całkiem a drugi naderwała i teraz też leżała chora, ale tego złamanego palca nie czuła. A nadłamany bolał i się paskudził. Ja teraz do roboty nie chodziłam, tylko jak było ciepło, to zbierałam jagody. Ale jak kto do roboty nie przyjdzie, to zaraz biorą na sąd, albo jak się spóźni. Teraz też przychodził milicjant i koniecznie żeby oddać do ochrony. Ja teraz, to już sama nie wiem co robić jak, czy bronić jak mogę czy jak, bo tutaj to tak i tak już mi radzą, jeszcze będę się nie dawać jak będę mogła.

W szkole darmo jak mówili, to nic nie dadzą, za wszystko trzeba zapłacić. A jak kto zachoruje, to trzeba sprawę od doktora a jak ktoś nie pójdzie bez przyczyny, to kara. W szkole uczą się same nasze dzieci a nauczycielstwo sowieci a uczą wszystkiego po rusku. Trochę zbieraliśmy jagody na sprzedanie po 80 kopiejek i po rublu za szklankę, na jagody trzeba było iść lasem przeszło 6 km i przez bagna, ale tam były ładne jagody. Poza tym nic nowego tutaj nie słychać. Mieszka nas w jednym mieszkaniu sześć rodzin a osób 27, jest nam ciasno i duszno. Tutaj ludzie chorują bardzo na brzuchy. Kartofle młode kosztowały 25 rubli za pud na wsi a teraz 20 rubli a mleko od dwóch do trzech i czterech rubli za litr i zawsze nie można kupić. W szkole

nauczycielka dzieciom przykazywała żeby nie nosili medalików i obrzynała medaliki. Teraz się spław kończy, więc wszyscy z powrotem mają wychodne w niedzielę. Zarobki teraz gorsze, bo większość pójdzie do drzewa rżnąć. Ja od miesiąca robię przy drzewie, z początku przy maszynie a teraz rżniemy metry. Wypłaty jeszcze nie brałam, ale spodziewam się marnej, jak zwykle przy metrach bardzo kiepsko płacą. Teraz parę dni temu założyliśmy ochronkę i te matki, które idą do roboty, to niektóre noszą dzieci do tej ochronki ale muszą opłacać. Teraz kilka dni to już był mróz i bardzo zimno. Na tym kończę i zasylam najserdeczniejsze pozdrowienia i proszę o odpis.

Kochająca Was Kazia

Jeszcze jeden mały liścik bez daty, napisany z Sybiru przez Kazię Glinkównę do cioci Mazurkiewiczowej oraz wujków Fajkowskich mieszkających w Siechieniewszczyźnie. Był to Jej ostatni list przed śmiercią w lutym 1941r.:

Kochana ciociu i wujkowie! Bardzo dziękuję za paczkę, gdyż się nam przydała. Proszę nie gniewać się na nas, że zaraz nie pisaliśmy, gdyż rozchodziło się o pieniądze, no i było nam bardzo ciężko z początku. Proszę równocześnie o napisanie listu, czy z Warszawy, które nie pisało teraz i jak im tam jest? Czy dobrze? Módlcie się za nas, gdyż musimy w niedzielę nawet robić a w taki dzień po jednym dają wychodne. Proszę by Tereska coś od siebie zapisała do dziewczyn. Zasyłam pozdrowienia i ukłony. Kazia

Ukłony do koleżanek i podziękowanie Celinie za list w liście.

Trzy kartki korespondentki pisane przez Antoninę Glinkównę ze Sybiru do dziadka i wujków Fajkowskich mieszkających w Siechieniewszczyźnie. Po śmierci Kazi Glinkówny i Jej młodszej siostry Reginy, opiekę nad najmłodszą Marysią przejęła starsza o 5 lat Jej siostra Antonina Glinkówna, bo wtedy miała już 15 lat. Cytuję treść trzech krótkich listów:

Kochany Dziadku! 3 III 1941r. Otrzymaliśmy od dziadka sto rubli, ale już się wszystko rozeszło. Kazia i Regina poumierały w szpitalu. Regina zachorowała na krwawą dezynterię a Kazia miała grypę i zapalenie płuc. Kochany dziadziu! Bardzo

proszę dziadzia, że dziadzio zaopiekował się nami i za Kazię i Reginę żeby dziadzio zadbał i dał na Mszę św. Bardzo mi jest przykro i co noc się śni. Bardzo proszę dziadzia i całą Siechieniewszczyznę, niechaj opiekują się nami.

Pozostaje sierota wnuczka Antosia

Kochany Dziadziu! 5 III 1941r. Zostaliśmy tylko we dwie. Ja i Marysia¹⁸ zostałyśmy sieroty na całe życie. Kochany dziadziu! Kazia i Regina poumieraly w szpitalu. Ratujcie nas czym możecie. Bardzo prosiłabym, żeby dziadzio z wujem Mazurkiewiczem i z wujem Ludwikiem Fajkowskim, żeby dziadzio i wujkowie opiekowali się nami. Kochany dziadziu czyście nie mieli żadnej wiadomości z Buga od Naci, Jadzi¹⁹. Bardzo Was proszę o odpis.

Antosia

Kochany Dziadziu i Wuju! Dnia 5 III 1941r.

Pytacie czy Kazia wyzdrowiała. Kazia i Regina już obie wyzdrowiały na tamten świat. Kazia umarła 11 lutego a my zostaliśmy we dwie z Marysią. Jesteśmy przy wujence. Bardzo Wam dziękujemy za pamięć i za poradę. Gdybyśmy się dowiedziały, że dziadzio nam doradził, żeby oddać się do ochrony, obydwie zaraz zalałyśmy się łzami. Chcielibyście, żebyśmy mogli zamorzyć się tak jak Kazia i Regina. Bardzo dziękujemy rodzinie za pamięć i za poradę. Bo i ciocia o 10 kilometrów od nas a my tylko przy wujence. Kochana Janko i Marcysiu²⁰ czyście o nas zapomnieli, czyście się

¹⁸ Marysia Glinkówna – ur. w 1931r., córka Franciszka i Marianny z d. Fajkowska, deportowana z rodziną ciotki F. Niebrzegowskiej w II 1940r. na Sybir do Wardy w obw. archangielskim. Przeżyła zesłanie i po śmierci jej 3 siostr, została zabrana do Sowieckiego Domu Dziecka w Niżnich Mocziugorach. Następnym Domem Dziecka, ale już polskim był Czkałowski pod Moskwą. Na dużą prośbę została Marysia przeniesiona do następnego, również Polskiego Domu Dziecka w Szwarysze k/Gorek. Tam już byli Jej kuzyni Tadeusz i Genowefa Niebrzegowscy. W kwietniu 1946r. jako repatriantka wróciła razem z kuzynami do Polski. Od 1954r. mieszka w Krakowie, już jako żona Edwarda Szymańskiego. Matka trojga dzieci i czworo wnucząt. Zmarła 18 maja 2004r.

¹⁹ Nacia i Jadzia – starsze siostry Glinkówne. Obie były w czasie wojny po stronie niemieckiej. Nacia jest urodzona w 1922r. a Jadzia w 1920r. i przebywa w zakonie. Nacia wyszła za mąż za swego kuzyna Adolfa Mazurkiewicza i mieli siedmioro dzieci, żyje czworo, tj. Joasia i Zosia oraz Paweł i Józek., 6 wnucząt.

²⁰ Janka i Marcysia – Najstarsze córki wujka Ludwika. Marcysia żyła w latach 1920-1965 i była chrześnicą mojej mamy Franciszki Niebrzegowskiej.

nas może wyrzekły? Bo do kogo piszecie to piszecie, a o nas to nawet nie wspomnicie. Napiszcie do Józia²¹, że Kazia z Reginą już umarły. Kazia z Reginą proszą Was o Mszę św., bo jak wiecie pochowane są tutaj na Sybirze. A ja chodzę do szkoły. Proszę Was o prędkiego odpis.

Antosia

Również pisze o swoich siostrzenicach Glinkównach moja mama do brata Bolesława Fajkowskiego i siostry ze szwagrem Mazurkiewiczów w Polsce 23 marca 1941r. z Zory²² na Sybirze. Cytuję fragmenty tego listu:

Co do Glinkównien, to jest im zupełnie dobrze, bo nie kazali wyjechać do ochrony, to nimi się opiekują, to co macie przysłać dla nich, to dla mnie przyslijcie, bo mnie najgorzej od wszystkich. Nie mam wyjścia do życia. A to jeszcze najgorsze ja zdrowia nie mam. Jakże żyć, jak zarobić nie można - Pisałam niedawno do Was, może nie doszedł, to drugi piszę i proszę Was dajcie jakąś pomoc, bo Glinkównom nie potrzeba nic, bo nie chcieli ich oddać do ochrony, to teraz się nimi opiekują tak, że jest im bardzo dobrze. To proszę Was zamiast im, to może dla mnie co będziecie mogli, bo zupełnie nas rozłączyli. Rozgniewali się na mnie okropnie, że ja ich zbuntowałam, żeby nie chcieli iść do ochrony. Komendant tutejszy winę na mnie złożył a to wcale nieprawda. Spytałam się tylko raz, co Kaziu zrobisz, kiedy chcą twoje dzieci zabrać, to ona mi odpowiedziała - ja nie wiem co zrobić. Niech mi ciocia doradzi, co mam zrobić. To ja jej odpowiedziałam, że poradź się ludzi mądrzejszych niech Ci doradzą co zrobić. No i tak jej doradzili. No i tak pracowała do ostatniej chwili, aż musiała umierać. A teraz te dwie są przy Włódkach, to jak Wam wiadomo, jakie one są. Rozdzielił się z każdą odrobiną a przecież nie źle im tutaj, bo we trzech robią, to biedy nie mają. Dobrze im jest tutaj, tylko ich taki zwyczaj, że tak biadują i umierają z biedy a to wcale nie prawda. Paćkowa²³ im przysłała 40 rubli a to wcale bez potrzeby a taka

²¹ Józef Glinka – syn Franciszka i Marianny z d. Fajkowska, urodzony w 1918r. W zakonie księży Marianów od 15 roku życia. Kapłanem został w 1946r. Zmarł 9 stycznia 2005r. w Górze Kalwarii.

²² Zory – miejscowość na Sybirze w obwodzie archangielskim. Przebywaliśmy tam od listopada 1940r. do lipca 1941r. Od sierpnia z powrotem przenieśliśmy na stare miejsce do Wardy, na drugą stronę rzeki.

²³ Paćkowa – córka Marcina i Tekli Niebrzegowskich z d. Kudła. Siostra mego ojca. Po wojnie nie było kontaktu z nimi. Prawdopodobnie Jej mąż przyczynił się do umieszczenia nas na listę zesłańców na Sybir.

ja sama jestem. Bratowa przecież wie, że już nie robię jak i ona, ale na nią trzech robi a u mnie nikt.

Siostra F.

Według opinii wynikających z listów pisanych przez mamę, to Kazia Glinkówna była bardzo pracowitą dziewczyną a jednocześnie wysoko uwydatniła się u niej opiekuńczość nad młodszymi siostrami. Młody siedemnastoletni organizm osłabiony ciężką pracą fizyczną, a często głodujący przez parę dni, nie wytrzymał i załamał się pod dużym obciążeniem fizycznym i psychicznym. Umarła w szpitalu mając 17 lat razem ze swoją młodszą o cztery lata siostrą Reginą w lutym 1941r. To samo stało się z trzecią siostrą Antosią, która również zbyt mocno przejęła się rolą opiekuńczą i umarła na uraz głowy w lecie 1941r. Najmłodsza Marysia została sama i wzięto ją do Rosyjskiego Domu Dziecka. W lecie 1943r. była nas odwiedzić w Wardzie, bo od dwóch lat tam zamieszkiwaliśmy. Zastała już wtedy tylko mnie i moją siostrę, bo rodziców i braci już nie było. Dom Dziecka gdzie przebywała Marysia Glinkówna mieścił się po drugiej stronie rzeki w odległości kilkunastu kilometrów. Marysia mimo, że została sama na zesłaniu to jednak w kraju żyło jeszcze troje najstarszego Jej rodzeństwa. W sumie ich było czworo a nas tylko zostało dwoje, w których ledwo tliło się życie i w każdej chwili mogło zgasnąć. Mojemu rodzeństwu i mnie nikt na Sybirze nie proponował za życia mamy opieki w domu dziecka czy też w przedszkolu. Być może uchroniłoby to moich braci od śmierci głodowej. Mogłem chodzić do przedszkola miejscowego dopiero po śmierci dwóch moich braci i mamy w 1942r. i w ten sposób przetrwałem ciężkie czasy zanim nas z siostrą zabrano w 1944r. do Polskiego Domu Dziecka w Szwarysze k/Gorek.

Analizując po 60. latach sprawę kuzynek Glinkównien to zdaję mi się, że źle się stało, iż nie oddano Reginy, Antosi i Marysi wcześniej do domu dziecka, tzw. ochrony. Miałyby tam mimo wszystko dużą większą szansę na przeżycie, bo jednak sowieci jako tako opiekowali się dziećmi w tych domach opieki. Wprawdzie dzieci polskie w Rosyjskich Domach Dziecka były bardzo prześladowane i maltretowane, ale ich było trzy i nie byłyby przez to osamotnione. Kazia pracowałaby tylko dla siebie i na pewno miałyby z nimi ścisły kontakt. Dopiero po śmierci trzech starszych sióstr, jednak tą najmłodszą Marysię wzięto do ochrony i tam przetrwała, nie ginąc z głodu a tylko prawie zapomniała mowy polskiej.

Zachodzi pytanie, dlaczego 4 moje kuzynki były wywiezione na Sybir? Po śmierci ich rodziców w 1936 i 1939 roku, najmłodsze córki pozostające w domu zostały przywiezione do naszego domu w Siechieniewszczyźnie i oddane pod ścisłą opiekę moich rodziców. Było to gdzieś widocznie zapisane w urzędzie, bo zostały uznane jako członkinie rodziny i na liście umieszczone do deportacji na Sybir. Wujek Bolek Fajkowski, mimo że mieszkał razem z nami w jednym domu nie był uznany przez władzę sowiecką jako członek rodziny i nie było Jego na liście deportacyjnej a Glinkówny były. Świadczy to o ścisłej więzi rodzinnej i opiekuńczej jaka była czy też powinna być między moją mamą a kuzynkami. Jak wynika z pamiętnika mojej siostry, to Kazia Glinkówna była dużą pomocą dla naszej mamy w czasie deportacji na Sybir i w urządzaniu się na zesłaniu w Wardze. Kiedy i jaka sytuacja spowodowała, że Kazia razem z siostrami wymówiły posłuszeństwa mojej mamie a swojej ciotce? Jest to temat bardzo drażliwy i nigdy nie był po wojnie poruszany i dyskutowany przy mnie po naszym powrocie do kraju. Jaki procent winy był po stronie Kazi do mojej mamy? A może to mama była trochę winna? Może ktoś trzeci wmieszał się w nasze sprawy rodzinne i zaczął buntować Kazię Glinkównę? Na przykład: ***Po co masz słuchać ciotki a lepiej byłoby wam żyć osobno a jednocześnie prosząc rodzinę w Polsce o pomoc, bo jesteście przecież sierotami, lub też: Ciotka i tak wami nie będzie się opiekować, bo ma własne małe dzieci itp.*** Jest pewne, że Kazi jako najstarszej z sióstr deportowanych na dobre to nie wyszło, bo w efekcie tej decyzji tragicznie się to skończyło. Jestem pewny tego, że gdyby moi bracia razem z rodzicami przeżyli Sybir a następnie powrócili do Polski, to całą winę za śmierć 3 kuzynek przypisano by mojej mamie. Ja i moja siostra zostaliśmy również sierotami, dlatego ten temat nigdy przy nas nie był poruszany po powrocie do Polski. Przecież mogła coś powiedzieć na ten temat nasza stryjenka Maria Niebrzegowska, jak również moja siostra oraz nasze kuzynki ze strony rodziny mego ojca, tj. Antonina Antonowicz i Ola Mazurek. Mnie osobiście również ten temat nie interesował, gdy byłem młody i dlatego nie pytam o szczegóły. Prawdopodobnie dużo zła zrobiła nasza stryjenka Władkowa, która często wtrącała się w nie swoje sprawy, jeśli chodzi o wychowywanie kuzynek nieletnich, robiła tzw. krecią robotę. Ta niechęć i zazdrość do mojej mamy panowała jeszcze w Siechieniewszczyźnie, która wydała owoce na zesłaniu.

Została jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia, to listy mojej mamy do brata a naszego wujka Bolesława Fajkowskiego w Polsce, w których pisze o Glinkównach, że

im tak źle nie jest, bo życzliwi ludzie pomagają im sierotom. Prosi swego Brata i innych, że zamiast im to niech przyślą mnie. Wyjaśniam, moja matka sama z czwórką nieletnich dzieci, w tym trójką poniżej 9 lat, była uważana jako pełnosprawna osoba, która może wyżywić siebie i nas czworo będąc na zesłaniu. Nikt nie chciał Jej uznać jako sierotę z dziećmi tam na Sybirze, jak również tego faktu nie chciała uznać rodzina pozostająca w Siechieniewszczyźnie. Matka w rzeczywistości była prawie zawsze chorowitą osobą przez większość dni w roku i dlatego nie mogła pracować, jak również i my rodzeństwo często chorowaliśmy. Według powiedzenia władz sowieckich: ***Kto nie pracuje ten nie je***, to dlatego w większości dni w roku w mojej rodzinie było całkowicie postnych, a w resztę dni jedliśmy tylko raz albo dwa razy dziennie i to byle co. Taka była prawda i o takiej prawdzie pisze moja mama w listach do rodziny pozostającej w Polsce. Mama widziała dla Glinkówien taką pomoc materialną od strony rodziny, jak również od miejscowej ludności. Dlatego pisze otwarcie, jak w rzeczywistości było, aby przekonać resztę rodziny w Siechieniewszczyźnie i przebudzić ich z odrętwienia. Prawdopodobnie uważano moją rodzinę jako coś gorszego, bo ojca aresztowano. I chyba lepiej było nie narażać się, bo samemu można było być wywiezionym na Sybir. Ojca skazali na ciężką pracę niewolniczą w łagrze na 3 lata w bardzo zimnym klimacie w okolicach Morza Białego przy budowie kolei Archangielsk-Białomorsk o 150 km od naszego miejsca zesłania. Pomoc materialną organizował jedynie brat mamy, wujek Bolesław Fajkowski. Matka czuła bliską śmierć swoją i dzieci. Widziała słabość i niemoc u siebie oraz niknięcie w oczach swoich dzieci. Tu przytoczę parę przykładów z książki E. Iwanickiego pt.: ***Wróg towarzysza Stalina***, na temat definicji głodu:

Głód upokarza, poniża, budzi najniższe instynkty. Głód może kazać zapomnieć o godności, pozbawić człowieka instynktu samozachowawczego, wyzwolić w nim zwierzę. Obok popędu płciowego najsilniejszemu instynktowi i potrzebie - jest także głód.

Wszystkie wątpliwości, całą tragedię oraz prośby o zlitowanie się nad nią, jak to siebie nazywa ***biedną sierotą***, błaga o litość rodzinę i znajomych w Siechieniewszczyźnie w listach i kartkach pocztowych z Sybiru. Przystępując do opisów listów i ich cytatów, to jako pierwszy będzie druga połowa listu mamy do swojej siostry Geni i swego brata Czesława. Pierwsza połowa listu była już cytowana,

w którym opisywała mama jak nas aresztowano i w jakich warunkach deportowano ludzi na wschód. Jak wynika z krótkiego opisu dotychczasowych listów, w czasie podróży największy kłopot moja mama miała właśnie z najmłodszymi synami, tj. ze mną i starszym ode mnie o 4 lata Wenkiem. Ja zachorowałem na trzeci dzień podróży i jak to mama nazwała:

Całą drogę wiozłam trupa, ale przywiozłam go na miejsce. Bańkami, kompresami wyleczyłam go z Boską pomocą.

Będąc dwuletnim chłopcem to nawet już dobrze chodziłem, a nawet biegałem i na skutek ciężkiego dwustronnego zapalenia płuc, przestałem całkowicie chodzić i dopiero po paru miesiącach nauczyłem się ponownie tej czynności. Gdy jako tako doszedłem do siebie nastąpiło drugie nieszczęście w rodzinie. Wyciągnięto z wody i przyniesiono do baraku ledwo żyjącego mego brata Wenka²⁴. Znowu ciężkie zapalenie płuc, wydatek na lekarza i lekarstwa. Widocznie nasze organizmy jeszcze były silne i przezwyciężyliśmy ciężkie zapalenia płuc. Musiała pewnie nas później dobrze pilnować przed następnymi wpadkami do wody, bo nasz barak w Wardze znajdował się nad rzeką na wysokiej skarpie.

Tego roku, tj.1940 w rejonie podbiegunowym wiosna zrobiła się dopiero na przełomie czerwca i lipca. Klimat miejsca zesłania był fatalny, bardzo niezdrowy, malaryczny i chyba specjalnie wybrany, aby rodziny wykańczać. W zimie bardzo mroźno, wietrznie i duże opady śniegu. Praktycznie zima tam trwała przez 8-9 miesięcy. W lecie natomiast było dużo wilgoci i zastraszająca ilość komarów i kto nie miał ochronnego ubrania zawsze był cały opuchnięty. Praktycznie lato przychodziło nagle, bo przyroda musiała nadrobić zaległości a słońce w tym czasie świeciło bardzo intensywnie. Jajko zagrzebane w piasku było po pewnym czasie prawie ugotowane. Noc w lecie trwała tylko pół godziny, natomiast w zimie było tylko przez 2-3 godziny dnia.

Jak wynika z listu, to moja mama poszła do pracy dopiero, gdy się ociepliło i mimo wszystko nie była w stanie wytrzymać dłużej jak 2 miesiące, bo było ciężkie dla niej zajęcie. Dłużej nie mogła pracować, bo zaczęły się kłopoty reumatyczne, jak:

²⁴ Wenanti Niebrzegowski – urodzony w lutym 1934r., syn Bolesława i Franciszki z d. Fajkowska. Deportowany z rodziną 10 lutego 1940r. na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim. Zmarł w styczniu 1942r. na zapalenie płuc. Brat Tadeusza, Czesława i Genowefy.

łamanie w rękach, krzyżu i w nogach. Tragedia, bo czworo małych dzieci siedzi w domu i nie ma kto na nie zarobić, aby przetrwać zimę a wszystkie są bose i o pustych żołądkach. Dlatego moja mama musiała mimo wszystko sprzedawać co lepsze rzeczy, a używaną bieliznę i ubrania trzeba było ciągle łątać. Tragiczna była jesień, zima i wiosna, bo już w lecie dzieci zaczęły zarabiać na siebie zbieraniem jagód, za które można było kupić chleb i inne potrzebne produkty do życia. Zbieraniem jagód zajmowała się moja siostra razem z braćmi Wenkiem i Cześkiem, a czasami i moja mama włączała się do zbierania, biorąc oczywiście mnie ze sobą do lasu.

Aby bardziej przybliżyć tragiczną sytuację opisaną przeze mnie powyżej, cytuję drugą połowę listu mojej mamy z 3 listopada 1940r. z Posiołka-Wardy na Sybirze do swojego młodszego rodzeństwa Geni i Czesia Fajkowskich. Byli oni w tym czasie w klasztorach pod okupacją niemiecką. List był adresowany do Polski na adres Bolesława Fajkowskiego:

Przeczuwałam swoje nieszczęście. Za parę dni zachorował mi Tadzio okropnie na zapalenie płuc. Całą drogę wiozłam trupa. Ale przywiozłam go na miejsce. Bańkami, kompresami wyleczyłam go za Boską pomocą. Ale to nie na długo, bo tylko trochę zaczęło się ciepło robić, dzieci wychodziły na dwór po trochu i moje także. Znowu mi mój Wenek wpadł w wodę, bo nad rzeką mieszkaliśmy. Przynieśli na pół żywego. Nowy kłopot. Trzeba go było dobrze zaraz ogrzać. Byłoby może przeszło, ale mnie nie było w domu. Za parę dni zachorował na zapalenie płuc mocno. Nowy koszt. Przywiozłam doktora. Obejrzał, przeznaczył lekarstwo, zastrzyki, kompresy i bańki. Za Boską pomocą ulżyło mu i wyzdrowiał. Tylko kłopoty zawsze. Ociepiło się dobrze, ale tutaj to aż przy ostatnim maja dopiero zaczyna się trochę ocieplać. Poszłam do roboty, ale że nie mogłam znaleźć roboty stosownej do mojego zdrowia, robota była ciężka i na zimnie. Jak Ci wiadomo, ja zdrowia nie mam. Porobiłam 2 miesiące i zachorowałam, dostałam strasznego łamania po kościach. Najpierw w ręce, potem w krzyże a teraz w nogi mi wlało i muszę siedzieć w łóżku jak łazarz i bieda wieczysta. Przyjdzie się z głodu umrzeć. Nie ma komu zarobić a tu zima. Wszystkiemy boso i nie odziane i jeszcze głodne. Bieda, nie daj Boże. Proszę Cię Kochana Geniu, siostrzyczko droga, proszę o modlitwę do Boga o zmianę losu mojego. On osądzony na 10 miesięcy. Żeby Bóg dał, żeby go przysłali tutaj do mnie, to już byłoby dobrze. Myślę dzień i noc, oczy nigdy mi nie obsychają od łez, ale nic nie mogę wymyśleć ani wypłakać i modłę

się. Widocznie Pan Bóg nie wysłuchuje mojej modlitwy. Widocznie ja nie godna jestem, więc ja kochana siostrzyczko proszę Cię o modlitwę do Boga o zmianę mojego losu. Proszę Cię o prędkiego odpis.

Kochająca Twoja siostra F. Niebrzegowska.

Kochany Braciszku Czesiu!

Już nie będę Ci pisać tak obszernie jak do Geni, bo mi brak czasu, chociaż nie chodzę do roboty, bo chora jestem, ale roboty mam dużo. Muszę bardzo dużo łątać bielizny i ubrania, bo co lepszego to wyprzedać musiałam na życie, bo się wcale nie spodziewałam, że tu na zimę zostanę. A co ja teraz nieszczęśliwa poradzę. Bracie Kochany, czworo dzieci a ja chora sama. Dzieci małe do roboty niezdadne a ojca nie mają, żeby na chleb zarobił. Żebyśmy wszyscy przyjechali i obydwaj Bolki, to byłoby nam dobrze. Kto na siebie zarobi, to tym dobrze a mnie bieda. Niebrzegowskim, Redom, Mikołajewskim, Krasuskim jest dobrze, co z naszej kolonii, ale mnie to wielka bieda. Tym dziewczynom już jest trochę lepiej. Są cierpliwsze i zdrowsze. Moje często chorują. Żal mi serce zalewa. Pisać więcej nie mogę. Tylko braciszku kochany, proszę Cię o modlitwę do Boga o zmianę mojego losu.

Twoja siostra F. Niebrzegowska

Nawiązując do krótkiego zdania powyższego listu do swojej siostry Geni **osądzony na 10 miesięcy** odnośnie ojca, to wyrok ten nie pokrywa się z prawdą, bo za parę miesięcy w liście z 24 lutego 1941r., ojciec z łagru pisze do wujka Bolka i tam informuje, że jest skazany na 3 lata. W listopadzie 1940r. moja mama nadal nic jeszcze nie wiedziała, gdzie jest nasz ojciec. Również w liście do brata Czesława pisze: **Żebyśmy wszyscy przyjechali i obydwaj Bolki, to byłoby nam dobrze.** Niewątpliwie inaczej potoczyłoby się życie a szczególnie byłaby mniejsza udręka dla mamy, gdyby byli wujek i tato. Dla przykładu: Jak by przyjechał tylko wujek Bolek razem z nami na Sybir, to według mnie nie rozwiązałoby to sprawy. Wujek sam pracując prawdopodobnie zamęczyłby się, aby wyżywić 7 osób. Wtedy prawdopodobnie żadnych paczek ani pieniędzy nie wysyłano by, bo jak wiemy z treści listów, tylko wujek Bolek zajmował się tymi przesyłkami, kosztem swojego zdrowia i zubożania

siebie pod względem materialnym. Bardzo ważną sprawą było, że mama jeszcze nie straciła nadziei i wiary, bo prawie w każdym liście prosi o modlitwę w swojej intencji.

W pierwszym liście z Sybiru, przypuszczalnie z 12 kwietnia 1940r., mama pisze do braci Bolesława i Ludwika Fajkowskich oraz do męża a naszego ojca, o którym nic nie wiedziała gdzie jest a może myślała, że już wrócił do domu. Pisze z wielkim bólem w sercu i dziwi się dlaczego taka wielka niesprawiedliwość się stała, że jedni zostali a ona z małymi dziećmi musiała jechać na poniewierkę. Próbuje w liście zachęcić i nakłonić braci, aby coś zrobili, aby nas wyrwali z tej ziemi niehumanitarnej. Przy okazji informuje o ciężkiej sytuacji wyżywienia siebie i czworo małych dzieci. Również pisze mama o dużej umieralności dzieci na zesłaniu, o chorobie mojej w podróży, itd. Prosi i błaga przede wszystkim o pieniądze i paczki żywnościowe z tłuszczem, jak również i o rzeczy, a przy okazji prosi o załatwienie różnych zaległych spraw u krawcowej i szewca. Cytuję w całości list mojej mamy Franciszki Niebrzegowskiej z Wardy na Sybirze do braci Ludwika i Bolesława Fajkowskich oraz do swojego męża, napisany przypuszczalnie 12 kwietnia 1940r., według daty stempla pieczętą z koperty.

Kochani Bracia, Mężu²⁵!

Piszę do Was ten list z bólem w sercu jak myśmy się rozłączyli. Jedni zostali, ja z dziećmi pojechałam. Ty mężu też nie wiadomo gdzie. Wprost rozpacz mnie porywa, co się stało z nami.

Kochani bracia i mężu! Starajcie się o nas, ażeby nas wyrwać stąd. Przecież wiadomo o tym, że rodzina tak rozerwana. Ja nieszczęśliwa, przecież ja tak żyć nie mogę. Czwooro dzieci wyżywić i wyrobić na nich nie mogę. Jak wiadomo o tym, że mnie ręce bolą a chociażby nie bolały, to też ja nie wyrobię i bardzo na zdrowiu źle się czuję a i nie mam ciepłego ubrania do roboty i teraz do roboty chodzić nie mogę, a z czego żyć teraz? I chłopakom muszę jakiś kupić obucie, bo nie mają, bo tutaj dzieci bardzo chorują i dużo umierają a przeważnie te, co kiepsko się odżywiają.

²⁵ Bolesław Niebrzegowski – urodzony w 1895r. w Niewęgłoszu k/Radzynia Podl. woj. lubelskie, syn Marcina i Tekli z d. Kołtun. Wzorowy gospodarz na 25 hektarach w Siechcieniewszczyźnie. Uczestnik w pierwszej wojnie światowej oraz wojny ojczyźnianej przeciw nawałnicy bolszewickiej w 1920r. Mąż Franciszki od 1922r. i ojciec czworo dzieci: Tadeusza, Wenantiego, Czesława i Genowefy. Aresztowany pod koniec stycznia 1940r. przez NKWD i skazany na 3 lata a następnie osadzony w łagrze w obwodzie archangielskim przy budowie kolei. Pod koniec lata 1941r. był zwolniony z łagru, a w listopadzie odnalazł swoją rodzinę w Wardze. Zmarł 25 sierpnia 1942r. z wycieńczenia i chorób nabytych w sowieckim obozie karnym, tj. łagrze.

I moje też pomizerniały a przeważnie Tadzio i Wenio. Tadzio chorował na zapalenie płuc. Bardzo kiepski był, ale teraz już zdrowszy, tylko trzeba go dobrze odżywić. Coś zróbcie, aby mnie dopomóc, bo nie dam sobie rady, bo tutaj dużo już po przesyłali pieniędzy i paczek, przeważnie jakiś tłuszcz. Proszę Was, zaraz mi odpiszcie co tam słysząc i jak robicie i co napiszę do Was, że u szewca są trzewiki 3, u Władzi Trąbkówny odbierzcie 2 koszule Cześkowe i jedna duża koszula i u krawca coś zrobić z tym. Ciebie Ludwiku proszę Cię o należność słoniny albo przyslij pieniądze za słoninę, bo Wiesz, że dopuszczenie na nas spadło od Boga, na pewno kara Boża. Jeszcze raz bracie Bolku odpisz mi jak najprędzej

Brak podpisu.

Następny list a właściwie trzy liściki pisane w Wardze z dnia 28 maja 1940r. i były kierowane do bliskich mamie osób o pomoc, na których bardzo liczyła. Pierwszy list do wujka Bolka, mieszkającego nadal w naszym domu i prosi go mama o informację odnośnie gospodarki i inwentarza a jednocześnie pisze o pracy jaka jest na zesłaniu. Mimo, że mama jeszcze nie pracuje to ma jednak dużo zajęć i aby żyć i ratować nas przed głodem śmiertelnym musi zamieniać różne rzeczy przywiezione z domu na kartofle. W następnych zdaniach prosi w liście o przysyłanie już konkretnych produktów żywnościowych, jak też różnych rzeczy pozostawionych u różnych osób w Siechieniewszczyźnie.

Ojca a mojego dziadka Antoniego Fajkowskiego prosi mama o ratunek, bo dzieci płaczą i piszczą z głodu. Pisząc zaś do brata Ludwika i jego żony, to ma żal do nich, że o niej zapomnieli. Innym pomagają a mamie nie i dzieci płaczą z głodu, bo pusty żołądek. Słowa mamy w liście: **Nie dajcie mi z głodu zginąć. Wam może też ciężko, ale jesteście na miejscu**, odnoszą się do rodziny Fajkowskich, gdzie było siedmioro dzieci, w tym dwoje już dorosłych - Marcysia i Janka. Będą na miejscu łatwiej im było przeżyć mimo dużej rodziny i bez zbytniego uszczerbku na zdrowiu mogliby częściej wysyłać paczki lub pieniądze dla nas głodujących na zesłaniu. Cytuję dłuższy list mojej mamy Franciszki Niebrzegowskiej pisany w dniu 28 maja 1940r. w Wardze na Sybirze i kierowany do brata Bolesława Fajkowskiego, ojca Antoniego

Fajkowskiego i najstarszego brata Ludwika z bratową Fajkowskich mieszkających w Polsce:

Warda, 28 maja 1940r.

Kochany Bracie Bolku!

List od Ciebie odebrałam 2 maja, za który Ci serdecznie dziękuję, tylko za mało napisałeś o wszystkim i bardzo mi przykro, że cośkolwiek mi nie napisał. Ojciec od siebie i Ty także nie napisałeś co zostało w mieszkaniu, co w oborze: krowy, świnię czy są kury, czy robisz w polu. A u nas to taka robota dla wszystkich: rżnięcie piłą drzewa, albo kopanie dołów rozmaitych. Kazia chodziła do rżnięcia metrów do tej pory. Doły kopała a teraz znowu rżnięcie. A ja to jeszcze wcale nie chodzę do roboty. Ale co z tej roboty, zarobię 3 ruble dziennie na chleb. Tylko 2 kilo i pół, to przecież nam nie starczy. A w niedzielę chodzę na wieś 8 kilometrów po kartofle i kupuję za rzeczy rozmaite: koszule, płachty, płótno, sukienki, rozmaite rzeczy. Już i mało ich jest. To dużo ja tych kartofli przyniosę? Ale co ja zrobię nieszczęśliwa. Muszę ratować dzieci, żeby nie poumierały z głodu. Ach Boże Kochany, Boże, czego ja taka nieszczęśliwa, że mnie wywieźli na koniec świata. Kochani bracia! Jeżeli mi nie będziecie pomagać, to zginę. Moi Kochani! Przyślijcie mi pieniędzy, jakich produktów: mąki czy kaszy czy słoniny, bo paczki przysyłają. Wszystkie jesteśmy bose. Tu u nas jest zimno, mróz jeszcze. Proszę Cię, zajdź do szewca, jeszcze niech on odda koniecznie te trzewiki dla Wenka żółte i jeden Geni, drugi w domu został. U krawca została kamizelka granatowa. Oddałam ją do przeszycia plec, to odbierz ją. Proszę Cię jak będziesz pisać list, to napisz mi jakiejś pewnoś. Tu niektórzy próbują pisać podanie do komitetu, ażeby nas zabrali stąd, przeważnie tych, co nie mogą sobie radzić tu. Postaraj się przyślij mi, bo zginę na pewno. Proszę Cię, przyślijcie mi jakąś pomoc: pieniędzy, jakąś posyłkę, produktów. Jeżeliby Trąbkówna uszyła dla Cześka²⁶ koszulę, to przyślij mi.

Brak podpisu.

²⁶ Czesław Niebrzegowski – urodzony w lipcu 1931r., syn Bolesława i Franciszki z d. Fajkowska. Deportowany z rodziną w lutym 1940r. na Sybir do Wardy w obwodzie archangielskim. Zmarł w styczniu 1942r. na zapalenie płuc i z wycieńczenia. Brat Tadeusza, Wenantiego i Genowefy.

Kochany i Drogi Ojcze!

Proszę i błagam o pomoc dla mnie. Na litość Boga Najwyższego, wspomagajcie i ratujcie mnie, bo zginę. Tatku Kochany, proszę o ratunek, bo piszczą z głodu i płaczą dzieci, że trudno przesłuchać i znieść tego żalu. Mam nadzieję, że będzie pamiętał o mnie Tatko a za to Pan Bóg wynagrodzi. Jeszcze raz proszę o pamięć o mnie, bo najgorsza klęska na świecie to głód. Proszę o modlitwę za nas, bo Bóg wszystko może.

Brak podpisu.

Kochany Bracie i Bratowo!

Mam do was żal, że tak o mnie zapomnieliście. Przecież wiadomo Wam o tym, że ja sama na czworo dzieci nie wypracuję na nic w świecie. Proszę Was przyślijcie mi coś pieniędzy, czy jakich może produktów, czy słoniny, mąki czy kaszy. Na litość boga, coś mi przyślijcie. Nie dajcie mi z głodu zginąć. Wam może też ciężko, ale jesteście na miejscu, to wam inaczej. Proszę Was pomóżcie mi. Glinkównom jest dobrze, bo im pomagają. Sowici im trochę dali na początku i nasze dają im dają co kto może, to chleba to kaszy, słoniny, mąki, co kto może a dla mnie nic. Wszyscy mnie opuścili i Ty Bracie Kochany zapomniałeś a wiesz, że męża nie ma. A co zarobię? 3 ruble a chleb po rublu 5 kopiejek. Dzieci wciąż płaczą jeść z co ja nieszczęśliwa im dam, kiedy nie mam za co kupić. Dowiedziałam się, że Redom przysłałeś. Przecież im to jest zupełnie łatwo, bo wszyscy robocze są. Każdy na siebie zarobi.

Brak podpisu.

Trzy małe karteczki-liściki bez daty i miejscowości. Przypuszczam, że to była jeszcze Warda, w której to miejscowości byliśmy przez wiosnę, lato i początek jesieni 1940r. Pisze w nich o chorobach swoich dzieci i swojej oraz to, że nie może pracować, bo źle się czuje. Ma jeszcze nadzieję, że wszyscy powrócimy na zimę. Również prosi rodzinę - bo do niej były adresowane - by ratowali nas, bo zginiemy z głodu. Cytuję poszczególne te liściki, aby w dalszym ciągu podkreślić grozę tragedii głodowej na zesłaniu:

Kochani! Piszę o swoim powodzeniu, co do zdrowia naszego. Tadzio był bardzo chory i Wenek także. Ja także się źle czuję na zdrowiu. Pracować nie mogę, nie dam rady a tutaj kto nie pracuje, to i jeść nie dadzą darmo. Dzieci mi pomizerniały. Jak możecie, to nam coś przysłijcie jakąś pomoc i opiekę.

Brak podpisu.

Kochany bracie, siostro i szwagrze kochany!

Pamiętajcie o mnie. Może będziecie wysyłać dla dziewczyn, to postarajcie się dla mnie cukru, bo mi się bardzo dzieci pochorowały a tu cukru dostać nie można. Ratujcie nas jak tylko możecie, bo zginiem. Tu bieda wielka, dorośli co mogą zarobić to mogą jeszcze żyć, ale jak trzeba wyrobić na kilkoro, to już zginięcie czeka. To samo mnie czeka.

Brak podpisu.

Jeszcze mam w Bogu nadzieję, że my powrócimy na zimę, chociaż ja tutaj to sobie dłużej życia nie liczę jak do zimy, bo nie mamy obucia ani odzienia, bo ja co zarobię i co mi czasem przysła paczkę, to tylko życie. Boże mój! Już głowa mnie boli od tego kłopotu. Chora jestem, pracować nie mogę. Boże mój, jak żyć! Słyszałam, że powypuszczali wszystkich z Brześcia? Niektórzy już powracają a ja żadnej pewności do..... nie mogę teraz?

Siostra F.

Powyższe małe liściki były jeszcze pisane przed latem a może niektóre nawet we wrześniu albo i w październiku 1940r. W okresie letnim nie zachodziła potrzeba pisanie i proszenia czy też błagania rodziny o pomoc, bo jako tako dawaliśmy sobie radę, dlatego nie ma z tego okresu takich tragicznych listów. Zaznaczam, że listy od rodziny do mamy, również nie zachowały się i nic na ten temat nie mówiła mi moja siostra, gdy jeszcze żyła do roku 1979. Listy błagające rodzinę o pomoc materialną i finansową zaczęły się nasilać z powrotem w jesieni 1940r. i trwały aż do wybuchu

wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941r. Na początku listopada 1940r., przypuszczalnie między 4 a 6 przeprowadziliśmy się na nowe miejsce odległe od Wardy o 8 km za rzekę. Dlaczego to uczyniliśmy? Przypuszczam, że powodem tego była ciasnota jaka panowała w baraku, jak również mogło być powodem, konieczność odłączenia mojej mamy od wpływu na wychowanie siostr Glinkówn. Na ten temat nic nie ma napisane ani w pamiętniku siostry mojej, ani nie pisze mama w swoich listach. Przeprowadziliśmy się w trochę lepsze warunki pomieszczeniowe do Zory i zamieszkaliśmy razem z rodziną Antonowiczów. Tam byliśmy do lata 1941r. i z powrotem wróciliśmy na stare miejsce do Wardy. Cytuję trzeci fragment pamiętnika mojej siostry Genowefy²⁷, napisanego w lecie 1944r., gdzie opisuje jak tam nam się żyło:

W początkach listopada 1940r. przeprowadziliśmy się na drugie miejsce o osiem kilometrów dalej. Podróż choć krótka ale bardzo uciążliwa była, mróz trzaskający był, furmanki pojechały naprzód, ja z mamusią szłyśmy z tyłu nie znając drogi, która prowadziła przez rzekę, bardzo łatwo było wpaść pod lód, bo przeręble były jedna koło drugiej a podróż była w nocy. Jednak z trudnością zaszłyśmy na miejsce.

Doczekaliśmy się świąt Bożego Narodzenia, bardzo nam było przykro, wszyscy płakaliśmy, nie zdawaliśmy sobie sprawy gdzie w tym czasie może znajdować się tatuś. Jednak zawsze sądziliśmy, że gorzej tatusiowi jest jak nam a żadnej wiadomości nie mieliśmy. W święta musieliśmy iść do szkoły. Na drugi dzień świąt wszystkich młodzież wywozili do lasów do pracy o kilkadziesiąt kilometrów. Tak przeszły święta Bożego Narodzenia w 1940r. Następnego roku oczekiwaliśmy z wielkim utęsknieniem i spodziewaliśmy się zmian, jednak rozpoczął się, że pierwszego stycznia ja wraz z bratem byliśmy na choince szkolnej, choinka rosyjska sprowadzała do większego żalu, bo przypominały się wszystkie czasy przedwojenne w gronie rodzinnym. Reszta rodziny była w domu.

²⁷ Genowefa Niebrzegowska – urodzona w styczniu 1927r., córka Bolesława i Franciszki z. d. Fajkowska. Siostra Tadeusza, Wenantiego i Czesława. Deportowana z rodziną w lutym 1940r. na Sybir do Wardy. W lecie 1944r. została umieszczona wraz z sześciolatnim bratem w Polskim Domu Dziecka w Szwarzysze w obw. gorkowskim. Byli już wtedy od 2 lat pełnymi sierotami. W kwietniu 1946r. jako repatriantka wróciła wraz z bratem Tadeuszem do Polski. Zginęła w wypadku samochodowym w styczniu 1979 roku w Krakowie na oczach swojej szesnastoletniej córki Urszuli.

Często z mamusią chodziliśmy na stare miejsce, podróż była ciężka, mróz palił a wiatr drogi zawiał. Pewnego dnia w lutym rano mamusia wzięła trochę ubrania i poszła na wieś, ażeby cośkolwiek zamienić na kartofle. Ja gdy wróciłam ze szkoły to mamusi nie było jeszcze a dnie były bardzo krótkie, już o trzeciej było ciemno, gdy zaczęło się ściemniać poszłam na spotkanie, droga prowadziła za rzekę. Gdy przeszłam parę kilometrów wiatr silny zerwał się, nie wiedziałam czy spotkam mamusię czy też mam iść do domu, ale wcale bym nie trafiła, bo okropna była zawierucha, oczy zasypywała a w dodatku głód i chłód dokuczał mi. Jednak postanowiłam czekać, w niedługim czasie spostrzegłam z daleka jakiś cień, to właśnie była mamusia, była bardzo zmęczona, ciągnęła na sankach kartofle i gdy spotkałyśmy się byliśmy bardzo szczęśliwe, odpocząwszy chwilę ruszyliśmy w stronę domu. Było już ciemno, mróz i wiatr był tak silny, że wcale nie było znać drogi, która prowadziła przez rzekę. Na przemian jedna z nas przodem szła i szukała drogi a druga ciągnęła sanki z kartoflami. Na drodze zawianej śniegiem a było go po kolana wpadało się po pas. Z wielkim trudem przebrnęliśmy do domu, w którym siedziało trzech braciszków głodnych. Choć byliśmy bardzo zmęczone, mamusia zaraz ugotowała kolację, którą zjedliśmy i spać się położyliśmy. Tak upływały dnie za dniami.

List z 8 listopada 1940r. był pisany już z nowego miejsca zamieszkania i został wysłany do Polski razem z listem pisanym w Wardze z dnia 3 listopada. Był kierowany do brata mamy, Bolka Fajkowskiego. Informuje mama wujka, że już wszystko co miała to wymieniła za jedzenie, aby ratować rodzinę przed śmiercią głodową. Ma w dalszym ciągu nadzieję, że tatuś lada chwila wróci i prosi jednocześnie o dowiadywanie się gdzie jest. Władze sowieckie otumaniały samotne matki, które ich błagały o powrót swoich mężów a w rzeczywistości było inaczej. Wcale im nie zależało, aby wrócili mężowie a zależało z kolei, aby jak najwięcej zginęło z głodu polskich matek z dziećmi.

W drugiej części listu pisanym już do wujka Ludwika i Jego żony, mama przypomina bratu i bratowej o ich obowiązku pomocy tym co są w skrajnej nędzy a nawet ubóstwa, które doprowadza do śmierci głodowej. Przypomina swemu starszemu bratu i bratowej, że jest sierotą z dziećmi bez ojca. Wujenkę bardziej interesowała rodzina Redów, bo familijnie była z nią związana. Rodziny, które żyją ze sobą w dużej przyjaźni, nigdy nie zapominają, gdy jedna z nich jest w dużym kłopotcie a zwłaszcza, gdy potrzebuje wsparcia materialnego w obawie przed zagładą. Widocznie

przed wojną były nieporozumienia między naszymi rodzinami tak blisko ze sobą spokrewnionych a tak nieczułych dla potrzebujących. Cytuję list mojej mamy Franciszki Niebrzegowskiej z Zory na Sybirze, pisany do brata młodszego Bolesława Fajkowskiego i na drugiej stronie tego samego listu do starszego brata Ludwika i Jego żony zamieszkałych w Siechieniewszczyźnie:

Zora, 8 listopada 1940r

Kochany Bracie Bolku!

Czy już i Ty zapominasz o mnie, czy może jakie nieszczęście się stało, aż mnie nie pokoi. A mnie nędza coraz gorzej dokucza. Wyprzedalam wszystko, już nie mam czego się czepić. Zlituj się nade mną jeszcze trochę. Może Bóg da, że powróci, to już będziem sobie radzić. Już nie będę Ci głowy zawracać. Kazali mi pisać tam, gdzie on jest a ja wcale nie wiem i nie piszę, więc proszę Cię mój bracie dowiedz się o nim, gdzie on naprawdę jest i w prędkę mi odpisz list. Dopiero ja będę pisała podanie. Tylko proszę Cię przyslij mi pieniędzy, kiedy paczki nie idą, bo mi bardzo trudno żyć. Posyłam Ci list do Geni. Proszę Cię odeślij do niej, bo może nie znam dobrze adresu, bo mi nie odpisują. Mój adres napiszesz jej gdzieś tam w liście. Tylko proszę Cię pisać mi dużo i o wszystkim. List od Ciebie, cała dla mnie pociecha i rozrywka. Proszę Cię o prędkie odpis i proszę Cię opisz mi o nim, gdzie jest.

Kochająca Twoja siostra F. Niebrzegowska

Kochany Bracie i Droga Bratowo!

Moi kochani macie serce kamienne. Na tyle próśb ode mnie i Was nie może wzruszyć. Wyobraźcie sobie życie moje a wasze, to taka różnica, że jak wy byście się dostali do nieba a mnie wywieźli do czyśćca. Więc waszym obowiązkiem jest mi dopomagać i wyrwać z tej nędzy, bo pamiętajcie sobie, jeżeli wy mi dopomagać nie będziecie to i Pan Bóg wam nie dopomoże. Jak wy o mnie zapominacie to Pan Bóg o Was zapomni. Moje łzy porażą Was. Wiecie Wy o tym, że ja istna sierota, ani matki, ani ojca a tu gromada dzieci i to dzieci nieszczęśliwe, bo i one ojca nie mają przy sobie. Nie ma im komu zarobić na kawałek chleba. Może Pan Bóg da, że przyjedzie, to będziem sobie radzić, bo tutaj dużo już powraca zaaresztowanych. Może i on powróci.

Będzie może lepiej. Proszę Was przysłać mi pieniądze kiedy paczki nie idą. Jeszcze mam jedną przykrość do Was a przeważnie do Marcysi, że nie napisze do mnie. Przecież jestem ciotką i matką chrzestną dla niej. Moja kochana Marcysiu pamiętaj, jak Ty byłeś w Warszawie, jaka była dla Ciebie pociecha, jakieś dostała list od rodziny, tak samo i dla mnie. Proszę o prędkiego odpis.

Brak podpisu.

Do pisania listów włączyła się moja siostra, w których prosi o pomoc materialną od rodziny mieszkającej w Siechowie. Dziękuje wujkowi Bolkowi za dotychczasowe paczki, ale jednocześnie prosi o dalsze, bo mama nie pracuje i z czegoś musimy żyć. Cytuję krótką korespondencję na kartce pocztowej mojej siostry Genowefy Niebrzegowskiej z Zory na Sybirze z dnia 5 grudnia 1940r., pisaną do wujka Bolka Fajkowskiego w Polsce.

Te pieniądze, które wujek wysłał drugim razem, tośmy otrzymali przedwczoraj. I to, co wujek pisał o nich w liście, to tak żeśmy otrzymali. Niech wujek powie Teresie niech odpisze. I bardzo dziękujemy i bardzo nam się przydały. Przed tym listem, który wujek otrzymał polecony, to jeszcze przed tym listem był wysłany list nie polecony i odkrytka. Niech nam wujek jakoś dopomaga, bo nam jest bardzo ciężko, bo mama nie pracuje. My jesteśmy w drugim miejsku.

Kochająca wujka Genia.

Druga kartka korespondentka mojej siostry z Sybiry, ale tym razem pisana o pomoc do księdza proboszcza w parafii. Informuje siostra księdza o naszym wywiezieniu, o braku ojca z nami, o głodzie jaki istnieje w naszej rodzinie oraz o chorobie naszej mamy. Trudno powiedzieć czy była odpowiedź na ten list mojej siostry? Przypuszczam, że wujek Bolek schował tę kartkę i być może ksiądz nawet nie przeczytał tej naglącej prośby na papierze. Cytuję list na kartce mojej siostry z Zory na Sybirze, pisany w dniu 14 stycznia 1941r. do księdza proboszcza naszej parafii w Szczytnikach, która jest jednak adresowana do wujka Bolka Fajkowskiego:

Kochany Księżu!

W pierwszych słowach mego listu Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Wywiezione jesteśmy w daleki kraj i przykro jest nam bardzo, bo jesteśmy bez tatusia i nie wiemy, gdzie jest. A więc prosimy o jakąś pomoc Księdza Ojca²⁸. Piszemy listy do wujków Fajkowskich do Siechieniewszczyzny, ale większość nie dochodzi. Najgorszy mamy kłopot, bo nie wiemy nic o naszym tatusiu, jest nam bardzo przykro i głód nas czeka, mamusia jest chora, na robotę nie chodzi. A więc jeszcze raz Księdza Ojca prosimy o pomoc. Wiemy, że Ksiądz Ojciec nie odmówi. Żegnam się z Księdzem Ojcem

Genowefa Niebrzegowska

Kończy się rok 1940 i jest dzień 28 grudnia a mama nadal choruje i pracować nie może. Dziękuje mama swojemu bratu Bolkowi w tym liście za pieniądze przysłane i prosi jednocześnie o pamięć, bo trudno żyć. Mama ciągle chce się dowiedzieć coś o naszym tacie, gdzie jest, bo prawie od roku nic nie wie o nim. Prosi swoją siostrę Anielę Mazurkiewicz, aby zorganizowała pomoc materialną wśród miejscowych kobiet i wytłumaczyła im w jak ciężkich warunkach żyje na zesłaniu. Jak w każdym liście skarży się na reumatyzm w rękach i nogach. Nie mając ciepłego ubrania nie może pracować przy dużych mrozach, bo musiała sprzedawać wszystko na życie. Píše również moja mama o wspólnym zamieszkiwaniu na nowym miejscu razem z Antonowiczami, z którymi bardzo źle się mieszka, bo dzieci były bardzo niegrzeczne. Cytuję list mojej mamy z Zory na Sybirze, pisany do brata Bolka a w drugiej części listu do siostry Anieli zamieszkałych w Siechieniewszczyźnie:

Zora, 28 grudnia 1940r.

Kochany Bracie Bolku!

Dziękuje Ci za Twoją pamięć o mnie i pamiętaj o mnie mój bracie kochany, bo mi bardzo trudno żyć. Choruję, pracować nie mogę a dzieci jeść chcą. Kochany Bolku! Te pieniądze, coś mi przysłał, to wszystkie otrzymałam, za które Ci dziękuję z września i z listopada po sto rubli. Dowiaduj się o paczki. Może będą szły, to, może mi przyślesz, bo tutaj paczki przychodzą tylko nie wiem skąd z jakich stron. Proszę Cię

²⁸ Ksiądz Ojciec – proboszcz z naszej przedwojennej parafii w Szczytnikach k/Brześcia n/Bugiem.

jeszcze raz dowiedz się dobrze o moim Bolku, gdzie on naprawdę się obraca. Cóż to mogło się stać, że od naszego wyjazdu nic nie mogą się dowiedzieć o nim. Pytam się ludzi mądrzejszych i nawet tych naczelników sowieckich, nic nie wiedzą co mi powiedzieć na to. Dokuczałam im do tej pory. Teraz mi powiedzieli, żebym pisała podanie o niego i Ty mi napisałeś, żebym pisała też podanie, to już prosiłam Mikołajewskiego i obiecał mi napisać. Może co pomoże, trzeba ryzykować. Poproś ode mnie tatka, ażeby coś nie bądź co do nas napisał od siebie. Bardzo proszę! Powiedz Paćkowej, że ja boję się jej posyłać tych papierów do żywotnych, żeby nie zginęły. Niech ona powie do Ciebie a Ty mi napiszesz jak ona zechce. Kochana siostro! Proszę Ciebie o to może byś pogadała do kobiet o mnie o moim życiu. Więcej pisać nie mogę. Proszę Cię pomyśl o tym, Pan Bóg zapłaci stokrotnie za dobry czyn. Chora jestem, pracować nie mogę. Reumatyzm miałam w rękach a teraz dostałam i w nogi. Jak siedzę w cieple, to nie tyle bóli odczuwam, ale jak wyjdę na zimno to łamanie po kolanach najokropniejsze. Ból straszny, że trudno wytrzymać a tu wszędzie muszę sama iść, nikt mnie nie wyręczy a tu mróz okropny tutaj. Nie mam ciepłego ubrania, bo co lepsze ubrania musiałam sprzedać na życie. Takie moje życie siostrzyczko kochana. Kto jest zdrow i pracować może to jeszcze żyć może i tutaj. Teraz wywieźli nas w drugie miejsce o siedem kilometry do Zory. Trochę cieplejsze mieszkanie. Myślałam, że dadzą mi osobne mieszkanie, ale nie. Z Antonowiczami mieszkam. Przykro mi, bo to takie niemożliwe dzieci i oni, ale muszę cierpieć do jakiegoś czasu, póki się nie zagryzę żywcem to wtedy się skończy.

Kochająca siostra F. Niebrzegowska

Pierwsze miesiące zimy w 1941r., to bardzo ciężkie a nawet tragiczne chwile w mojej rodzinie, gdzie nadal byliśmy bez ojca. Wprawdzie mama już nawiązała korespondencję ze swoim mężem a naszym ojcem, to jednak jest nadal bardzo przygnębiona, że nie może się złączyć z nim. Ojciec dostał wyrok i musiał swoje odsiedzieć, bo takie było prawo sowieckie. Władzy sowieckiej nie obchodziło to, że rodzina łagiernika umiera z głodu i wycieńczenia, oni mieli w tym swój cel. Staliśmy się już całkowitymi nędzarzami, tj. bose, gołe, głodne a nawet śpi się już na gołych deskach w baraku. Mama zaczęła mieć okresy powątpiewania i załamania psychicznego na skutek braku nadziei na powrót naszego ojca. Przychodzą do mamy rozpaczliwe myśli samobójcze, widocznie na skutek głodu, nędzy i zimna. Już nawet nie ma siły

sama pisać listu i prosi inną osobę, której dyktuje rozmaite prośby, błagania i zlitowanie się, kierowane do rodziny a nawet do obcych ludzi. Cytuję list mojej mamy z Zory na Sybirze do brata mamy wujka Bolka. Jak z treści wynika, to okres zimowy w pierwszych 3 miesiącach roku i jest pisany pod dyktando mamy, która widocznie była chora i nie miała siły aby utrzymać pióra czy też ołówka.

Kochany Bracie!

Choć się starasz o nas nie zapominać i pomagasz nam co możesz, ale ja Cię proszę, nie zapominać o nas, bo u nas to teraz życie bez żadnego wyjścia. Oberwaliśmy się, bose, gołe i głodne, śpimy na gołych deskach, bo wszystko wysprzedaliśmy. Z Bolkiem złączyć się nie możemy pomimo wszystkich starań tak, że dalej zupełnie sobie nie wyobrażam, jak będziemy żyli, już nie ma żadnego wyjścia. Często myślę, że tylko przyjdzie czas zabrać dzieci i iść razem się utopić. Jak dłużej się przyjdzie tak męczyć, bo tu nas pięcioro do życia, to i na jeden dzień ile trzeba a tu dzień za dniem szybko przechodzi i kilka razy na dzień by się zjadło. Jeszcze kto może zarobić to się jako tako ratuje a ze swoim zdrowiem i z małymi dziećmi i mowy nie ma o zarobku. Na taką ciężką zimę i długą rozpaczliwe myśli mi przychodzą. Jak pomyślę, jak przyjdzie żyć tu dłużej z taką nędzą. Do tej pory sprzedawałam co mogłam i tak się ratowałam a teraz sama nie wiem, co będzie i jak dalej się przyjdzie żyć. Więc proszę Cię Kochany Bracie, poproś i obcych ludzi i pomagaj nam co będziesz mógł, żebyśmy mogli utrzymać się przy życiu. Może Bóg jako odmienni. Na tym kończę. Pozostaje wyglądająca pomocy.

Frania z dziećmi!

Trzeba przyznać, że te minimum, które otrzymywaliśmy z kraju w postaci paczek i pieniędzy, to tylko dzięki wujkowi Bolkowi. On dwoił się i troił, aby dla nas coś przysłać dla ratowania swojej siostry i Jej dzieci. Mama bardzo doceniała przywiązanie wujka Bolka do nas i za każdym razem w listach serdecznie dziękowała jemu. Mama z wujkiem bardzo się lubili jako rodzeństwo i mieli wspólne zainteresowania w młodości. Wiekowo również byli do siebie zbliżeni, bo ok. 2 lat. Wujek był z zawodu nauczycielem, będąc jeszcze młodym zakochał się w pewnej panience. Myślał poważnie o założeniu rodziny, ale nie dostał od rodziców akceptacji i od reszty starszego rodzeństwa. Frania była jedyną, która była jemu przychylna, ale to

było mało ważne co mama myślała. Na skutek sprzeciwu rodziców w pozwoleniu na ożenienie się, musiał wujek zerwać z narzeczoną i od tej pory zamknął się w sobie i jako stary kawaler zamieszkał razem z naszą rodziną. W 1927r. razem z naszą starszą kuzynką od stryjka Władka 16-letnią Antoniną Niebrzegowską zostali rodzicami chrzestnymi mojej siostry Geni. Dokładnie tego nie wiem, czy przed II wojną św. wujek Bolek był zawodowo czynnym nauczycielem czy nie, bo w czasie okupacji sowieckiej a później niemieckiej, zajmował się tylko pracą w polu i gospodarzył w pozostawionym przez nas gospodarstwie razem z rodziną Butkiewiczów. Wujek Bolek to nasza ostoja i podpora na zesłaniu i śmiało można powiedzieć, że bez jego pomocy materialnej i pieniężnej na pewno wcześniej byśmy wszyscy zginęli z głodu na Sybirze.

Idąc dalej w rozważaniach listu z 6 lutego 1941r., to nadal moja mama informuje wujka Bolka o trudnościach materialnych. Dodatkową trudnością to obowiązkowe chodzenie do szkoły moich starszych rodzeństwa, tj. Geni i Cześka. Nawet w duże mrozy musieli chodzić do szkoły w płóciennych pantoflach i śniegowcach, bo nie było za co walonków kupić. Prosi mama wujka Bolka, aby poszedł nawet do księdza z parafii w Szczytnikach, żeby coś dał ze składki i była pewna, że nie odmówi mimo wyroku ojca. Wszędzie i do wszystkich pisała mama o pomoc materialną i żadnej jak píše od nikogo nie dostała. Widocznie wszyscy się bali narazić władzom sowieckim, aby pomagać rodzinie, której ojciec został skazany do łagru. Cytuję krótki list na kartce korespondentce mojej mamy z Zory na Sybirze z dnia 6 lutego 1941r. pisany do wujka Bolka w kraju:

Zora, 6 luty 1941r.

Kochany Bracie!

Dziękuję Ci za pamięć o mnie. Niech Ci Pan Bóg wynagrodzi stokrotnie. Przydały mi się okropnie te 80 rubli. Otrzymałam 6 lutego, bo pracować nie mogę, bo nogi poodmrażane i mnie bardzo bolą. Genia z Cześkiem chodzą do szkoły. Też zimno im, bo nie mają się w co obuć, Czesiek ma płótniane, bardzo zimne i zimno mu. Genia stare śniegowce też bardzo zimne, ale muszą chodzić do szkoły, bo zmuszają. Walonków nie mam za co kupić. Tak kombinuję, aby na życie starczyło. Wyprzedalam, co mogłam aby żyć, ale już nie mam co sprzedać. Wyłumacz mi Bracie Kochany, co mam zrobić? Biedne życie moje. Jak żyć? Proszę Cię może byś poszedł do

księdza i poprosił ode mnie. Może by dla mnie co zebrał, nawet i z wyrokiem. Przecież zna naszą rodzinę to tego nie odmówi. Wszędzie listy piszę, ale żadnej odpowiedzi nie mam od nikogo. Czy nie dochodzą. Nie wiem co się dzieje.

Kochająca siostra F.

W krótkim liście na kartce korespondentce z dnia 4 III 1941r. pisze mama ponownie do najstarszego brata Ludwika i jego żony o pomoc materialną, mimo obrażenia się ich na nas za ostre słowa w poprzednim liście. Wcale mama nie ukrywa i nie wypiera się tych ostrych słów w poprzednim liście, ale jeszcze im przypomina o dobrych uczynkach, za które w przyszłości Pan Bóg może im wynagrodzić stokrotnie. Również przypomina bratu i bratowej, że też jest sierotą a nie tylko Glinkównie. Pisze jeszcze do nich, że ludzie znajomi na zesłaniu to mocno się dziwią a nawet śmieją z mamy ze złego traktowania przez rodzinę w Polsce. W związku z powyższym nasuwa mi się dwa pytania: Dlaczego reszta rodziny pozostająca w Siechieniewszczyźnie tak mało włączyła się do pomocy? Drugie pytanie, to dlaczego dzieci Franciszki Niebrzegowskiej nie były traktowane również jako sieroty przez dziadka Fajkowskiego i innych, mimo że o wszystkim informowała w listach nasza mama? Myślę, że zostanie to tajemnicą do końca. Cytuję krótki list na kartce pocztowej, pisany przez moją mamę na dom brata i bratowej w kraju:

Kochany Bracie i Bratowo!

Moi Kochani obraziliście się, że ja do Was surowo piszę, ale muszę, muszę kochani moi, bo przecież wiecie o tym, że nie tylko Glinkówny sieroty, ale i ja także sierota, bo męża nie mam. A ja sama zdrowia nie mam, więc waszym obowiązkiem mnie dopomóc, bo zginę. Chociaż żyję na Syberii, ale mocno wierzę w Boga, że za dobry uczynek Pan Bóg wynagradza stokrotnie. Tak samo i z nami będzie moi kochani. Jak Wam trudno pieniądze przysłać to przyslijcie paczki, bo teraz tak dużo przysyłają paczek, że nie po jednej, ale po trzy na raz.. Przykro mi okropnie, wprost aż się wstydzę. Ludzie znajomi okropnie się dziwią i nawet śmieją się okropnie. Aż wstyd mnie rodzinie pomimo i nic nie pomagają.

Bez podpisu

Bardzo źle się dzieje w rodzeństwie mamy, jak sędzę z powyższego listu. Panowała niezdrowa atmosfera, jedni drugich wykorzystują i jedni drugim nie pomagają a nawet nie dają żadnej pomocy rodzonej siostrze z czwórką małych dzieci, potrzebującej i znajdującą się na pograniczu zagłady rodziny. Wujek Bolek żyjąc sam bez nas musiał gdzieś coś jeść i za to dużo płacił rodzonej starszej siostrze. Mama, gdy o tym się dowiedziała to bardzo mocno zareagowała na zachłanność w stosunku do wujka i w liście napisała co na ten temat myśli. Była bardzo oburzona na wyzyskiwanie brata przez Mazurkiewiczów. Radziła nawet wujkowi aby przyjął do domu naszą ciotkę Paćkową i żył z nią a ona gotowałaby i opierała jego. Dla mnie jest niezrozumiałe to, że ciotka Paćkowa była sama. Co się stało z jej mężem? Czy już wtedy była wdową? Może była to teściowa jej męża? Mama miała również zamiar zapisać list do Butkiewiczów, którzy objęli naszą gospodarkę, aby poczuli się do odpowiedzialności i coś niecoś pomogli wypędzonym prawowitym właścicielom, umierającym z głodu na Sybirze. Mazurkiewiczze na równi z Fajkowskimi i dziadkiem, nie chcieli zrozumieć ciężkiej sytuacji naszej mamy na Sybirze i to, że myśmy jako dzieci głodowaliśmy, bo nie chciano nas uznać sierotami. Cytuję ten krótki list napisany przez mamę na kartce pocztowej w dniu 8 marca 1941r. w Zora na Sybirze i adresowany do wujka Bolka w Polsce:

Kochany Bracie!

Proszę Cię bardzo odłączyć się od Mazurkiewiczów, bo za dużo im płacisz, że wprost niemożliwe. Jak oni się Boga nie boją tyle od Ciebie brać - 8 pudów mięsa. Pewna jestem, że i obce tyle by nie wzięli. Mieliby sumienie. Weź sobie Paćkową i oboje byście żyli, przecież tyle by nie zjadła, co Ty płacisz Mazurkiewiczom. Tak samo by Ci ugotowała i uprała, jak i Anielka a to co płacisz Mazurkiewiczom to lepiej byś mnie częściej wysłał a mnie bardzo trzeba. Bolku kochany, może byś pogadał z Butkiewiczami może oni by mnie przysłali. Przecież siedzą w naszych budynkach i na naszej ziemi. Przecież powinni się poczuwać do obowiązku. Może mi przysłać co będą mogli. Postaram się i do nich napiszę list z prośbą o wysłanie czego dla mnie. Tak samo i Mazurkiewiczze też powinni pamiętać o mnie. Zdaje mi się, że nie jest im tak trudno. Jakby chcieli to by mogli dopomóc.

Kochająca siostra F.N.

P.S. 5 marca dostałam list od swojego

Nastąpiła widocznie dłuższa przerwa w wysyłce listu, paczki czy też pieniędzy do nas na Sybir, bo już mama robi wymówki wujkowi Bolkowi w liście z dnia 7 maja 1941r. Wujek widocznie zdany tylko na siebie miał już małe możliwości, aby pomagać. W drugiej części listu pisze mama do siostry Anieli Mazurkiewiczowej i prosi ją o zorganizowanie pomocy wspólnej z innymi kobietami dla nas dzieci płaczących z głodu i zimna. Cytuję list z kartki korespondentki mojej mamy z Zory na Sybirze do brata, wujka Bolka i siostry, ciotki Anieli Mazurkiewiczowej w Polsce:

Zora, 7 maja 1941r.

Kochany Bracie Bolku!

Drogi braciszku! Mój Boże, już i Ty zapomniałeś o mnie, o mojej nędzy syberyjskiej. Ostatni duch mojego życia. Już dłużej nie mogę. Jeszcze nadzieję w Tobie mam, że mi najwięcej pomagasz, ale już i Ty potroszku zapominasz o mnie. Ach Boże mój! Wszyscy o mnie zapominają. Już zginiecie moje na pewno już nastąpi. Nawet listów nie piszesz do mnie. Proszę Cię pamiętać o mnie więcej. Kochana siostro! Proszę Cię, zapomnij o gniewie, tylko spełnij i zachowaj przykazania Boskie i dopomóż mi, bo zginę. Moja kochana siostro! Nie możesz sama to pogadać do kobiet i wspólnie mi dopomóżcie, bo ostatnia chwila. Już oślepiłam z płaczu i kłopotu. Wyobraź sobie, niech Ci dzieci płaczą z głodu i zimna, bo i zimno nam dokucza. Musiałam wszystko wyprzedać na życie. Proszę Cię, jak tylko byś chciała to byś mi najwięcej pomogła.

K. siostra F.N.

List z 8 maja 1941r. do wujka Bolka, to podziękowanie za przysłanie pieniędzy, Nadal mama błaga wujka o pamięć, bo w nim była tylko nadzieja. Cały krótki list poświęcony jest prośbom i błaganiom o pomoc oraz informuje wujka o ciężkiej sytuacji, o przedłużającej się zimie. Czekanie mamy na upragnione ciepło, bo cała rodzina już nie miała w czym chodzić. Prosi wujka o dalszą pomoc, ale jednocześnie nadmienia, że jest tam kilkoro z rodziny, którzy by mogli pomagać, ale są zatwardziali, bo mają kamienne serca. Cytuję ten krótki list pisany na kartce korespondentce przez moją mamę z Zory na Sybirze do wujka Bolka w Polsce:

Zora, 8 maja 1941r.

Kochany Bracie!

Pieniądze od Ciebie otrzymałam 7 maja, za które Ci serdecznie dziękuję, bo mi okropnie potrzeba. Już nie mam się czego czepić. Wszystko wyprzedalam, co miałam. Tak Bracie Kochany! Wtedy jak przysłecie nam co, to wtedy odżyję, bo tak to płacz tylko zawsze z głodu i chłodu, bo tu to jeszcze mrozy duże i śniegi a tu odziać się nie mamy w co, bo musiałam wszystko wyprzedać na życie. Zostałam w pantoflach na takie mrozy, jakie tu są jeszcze. Czekamy jak zbawienia ciepła i zmiany jakiej, bo już dłużej cierpieć nie można. Zdrowia nie ma, nerwy już słabe. Dłużej już cierpieć nie można Moi Kochani! Dopomogajcie mi na litość, bo ginę a przecież jest was kilkoro, to możecie mi pomóc, bo inaczej zginę.

Wasza siostra F. Niebrzegowska

Mama próbuje pisać do obcych ludzi o pomoc, bo duża rodzina, która została na miejscu jest nieczuła i są zimni jak lód, mimo pisanie do nich wielu listów. Ta obca osoba to siostra różańcowa z czasów wspólnych działań w Kółku Różańcowym we wsi. Informuje mama o ciężkiej sytuacji naszej rodziny a jednocześnie prosi o przysłanie pomocy w jakiejś formie. Píše jednocześnie o śmierci dwóch naszych kuzynek Kazi i Reginy Glinkówien a drugie młodsze są pod troskliwą opieką miejscowej ludności, mając zapewniony dostatek. Pisząc o dostatku jaki miały młodsze kuzynki, to mama chce zwrócić uwagę na naszą rodzinę, bo tamci im jeszcze przysyłają pieniądze i paczki a do mamy wcale. Cytuję list pisany na kartce korespondentce przez moją mamę z Zory lub już z Wardy na Sybirze z dniach 12 maja 1941r. i kierowany jest do Pani Krasuskiej²⁹, ale adresowany na Bolesława Fajkowskiego:

Zora-Warda, 12 maja 1941r.

Szanowna Pani!

Kochana Pani Krasusko proszę o pamięć dla mnie, bo zostałam wieczystą sierotą, bo już chyba wszyscy zapomnieli o mnie mój Boże, wprost rozpacz dla mnie nie wiem co się dzieje, nie mam żadnego przyjaciela, ani z rodziny ani z obcych, więc

²⁹ Pani Krasuska – obca osoba ale ściśle związana w Kółkiem Różańcowym, do którego moja mama też należała w kolonii Siechieniewszczyzna.

udaje się do Pani do Siostry Różańcowej i pewna jestem, że Pani mi nie odmówi tej prośby i jakąś pomoc mi Pani przyśle. Bieda nie daj Boże już od 15 sierpnia, bo choruję i nie zarabiam, wszystko wysprzedałam: ubranie, pościel, bieliznę, tak że w jednych koszulach ostaliśmy, nawet i obucie co lepsze i to sprzedalam. Dzieci nie odziane i nie obute i głód i chłód dokucza a zima ostra. Na pewno już Pani wie, że Kazia i Regina umarły a tymi dwoma dziewczynami bardzo troskliwie się zaopiekowali tutejsi ludzie, nawet i sowieli pieniędzy dużo im zebrali. Życie w stołówce dostają darmo, bardzo mnie to cieszy a o mnie Kochana Pani zapomnieli, nikt ani pomyśli. Do rodziny piszę list za listem, zimni jak lód, ani pomyślą o mnie, jeden brat Bolek ten tylko pamięta o mnie, tylko nie ma skąd, to co mnie by przysłał to płaci za stołowanie siostrze.

F.Niebrzegowska

Połowa listu mamy do wujka Bolka z dnia 23 marca 1941r., to hymn pochwalny pod Jego adresem. Liczy i ufa Bogu, że kiedyś odwdzieczy się swemu bratu za jego dobroć i szczerą pamięć. Niestety nigdy później już nie mogła tego uczynić, bo musiała umrzeć za rok z głodu i tęsknoty za dwoma wcześniej umarłymi synami. Píše do brata Bolka, że wreszcie ma kontakt z mężem i napisała już parę listów do naszego taty. Jak pisze, to jest jemu już lżej, bo spełnia czynności nocnego stróża a przedtem ganił ich do ciężkiej pracy przy budowie kolei. Całej i szczerzej prawdy ojciec nie mógł napisać, bo list z łagru nigdy nie doszedłby do adresata. Każdy list więźnia był wnikliwie analizowany przez naczelnika obozu pracy. Prosi mama swego brata Bolka o paczkę dla naszego ojca ze wskazaniem drugiego starszego brata Ludwika, aby ją wyszykował i wysłał. Nawet na Sybirze, aby złożyli się na pakunek dla naszego taty do łagru. Wspomina także mama o Glinkównach, że jest im nadal dobrze i są pod opieką przy Władkach. Cytuję list mojej mamy z Zory na Sybirze z 23 marca 1941r., napisany do swego brata Bolka w Polsce:

Zora, 23 marca 1941r.

Kochany Bracie Bolku!

Pieniądze od Ciebie otrzymałam 21 marca, za które Ci serdecznie dziękuję, bo tak mi się przydały jak zdrowie dla chorego, bo już ostatnią poduszkę musiałam sprzedać na życie. Na taki koniec mi wyszło ostatnią z siebie koszulę muszę sprzedać

na życie. Bracie kochany, Ty jeden brat jesteś dla mnie prawdziwy. Niech Ci Pan Bóg da zdrowie. Może da Bóg, że ja Ci się odwdzięczę za to. Mój bracie kochany jeszcze mam nadzieję, ufam w Boga, że jeszcze ja doczekam tej chwili, ażebym mogła Ci się odwdzięczyć za Twoją szczerą pamięć o mnie. Mój już mi pisał dwa listy i już ze cztery ja posłałam. Pisał, pisał i o pasek? Ale, że tutaj nie ma wcale i nie posłałam mu. O podanie się radziłam. Kazali pisać i napisałam. A teraz on pisał do Władców list, że teraz zwolnili go od roboty i jest nocnym stróżem, ale mu życia ujeli i prosi o paczki. Może Ludwik by wysłał z jedną jemu. Ja tu porozmawiam ze znajomymi, to może zrobią mu to, że złożą mi na paczkę dla niego, to mu pošlę. Co do Glinkówien, to jest im zupełnie dobrze, bo nie kazali wyjechać do ochrony, to nimi się opiekują, to co macie przysłać dla nich, to przyslijcie dla mnie, bo mnie najgorzej od wszystkich. Nie mam wyjścia do życia. A to jeszcze najgorsze ja zdrowia nie mam. Jakże żyć, jak zarobić nie można. Dzieci jeszcze do jakiego czasu zdrowe są.

Kochająca zawsze twoja siostra F.N

Ostatnia kartka korespondentka mamy ze Sybiru z dnia 8 czerwca 1941r., bo już za dwa tygodnie wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i dlatego już nie istniała poczta. W tym krótkim liście wspomina mama o chorych płucach mojej siostry, którą trzeba było odżywiać, bo inaczej zmarnieje. Odżywiać się lepiej jak pisze mama nie ma szansu, bo tam zawsze post, tj. 3 razy chleb z czarną kawą zbożową i nic więcej. Prosi swego brata, aby taką paczkę naszykowali i wysłali Mazurkiewiczze. Jeśli chodzi o moją siostrę, to w latach późniejszych, gdy już wróciliśmy oboje do Polski jako pełne sieroty, nigdy siostra nie skarżyła się na płuca. Widocznie choroba płucna cofnęła się i nastąpiło tzw. zwapnienie. Lekarze nawet ją pytali za każdym razem, czy nie chorowała na gruźlicę, bo obraz w prześwietleniu wyraźnie wskazywał na silne zwapnienie płuc. Mówiła zawsze lekarzom, że nie pamięta aby kiedyś chorowała. Przeciwnieństwem do siostry byłam ja, bo tam na Sybirze nie chorowałam na płuca i dopiero po przyjeździe do Polski w latach czterdziestych i pięćdziesiątych miałem bardzo duże kłopoty ze zdrowiem. Cytuję ostatni list na kartce pocztowej mojej mamy z Zory na Sybirze, pisany do naszego wujka Bolka w Polsce:

Zora, 8 czerwca 1941r.

Kochany Bracie!

Kochany Bolku! Dziękuję Ci za pamięć, ale proszę Cię przyslij mi paczkę jakim sposobem, bo mi bardzo potrzeba. Genia mi się rozchorowała, nic jeść nie może. Trzeba mleka coraz kupić, czy jakiegoś tłuszcieszego jedzenia. Tak doktor powiedział, bo na płuca chora, więc trzeba dobrze odżywiać jakiś czas, może przejdzie. A ja nie mam za co kupić mleka, czy co innego a dziewczyna marnieje każdym dniem. Ja też chora jestem, tylko na inną chorobę. Też pracować nie mogę. Takie życie moje tutaj a tu post wieczysty. Chleb z czarną kawą 3 razy dziennie, nic więcej. Może Mazurkiewiczze by uszykowali, bo mi trzeba.

Kochająca siostra F.

Po jedenastu miesiącach od aresztowania naszego ojca na początku lutego 1940r., jest wiadomość. Ojciec pisze do brata mamy i rodziny na adres wujka Bolka mieszkającego w Siechieniewszczyźnie. Listy pisane były w j. rosyjskim a było ich trzy. Przetłumaczył je nasz wujek ks. Czesław Fajkowski w 1966r. a może ktoś inny to uczynił. Widocznie nie wolno było początkowo pisać listów w j. polskim i dlatego ojciec prosił kogoś, aby ktoś za niego napisał. Jak wynika z treści pierwszego listu, to przede wszystkim ojciec nic nie wiedział o deportacji całej naszej rodziny na Sybir, czyli jego żony z dziećmi oraz całej rodziny swego brata Władka. Pisze dalej, że napisał list do Frani, tj. do naszej mamy i nie otrzymał odpowiedzi. Jest tym zaniepokojony, co się dzieje z żoną i dziećmi. Nic nie pisze na jaki adres wysłał ten list, na który nie dostał odpowiedzi. Następnie w liście wymienia zapotrzebowanie na szereg produktów żywnościowych i innych rzeczy, których potrzebuje i prosi rodzinę o wysyłkę do łagru na jego nazwisko. Widocznie coś tam tato wiedział o deportacji ludności na wschód, bo ciekawy jest kto ze wsi-kolonii wyjechał.

W drugim liście, również w j. rosyjskim pisze do swojej siostry Paćkowej. Informuje ją, że żyje i jest zdrow. Następnie skarży się, że mimo pisania dużej ilości listów do rodziny, to żadnej pomocy od niej nie dostaje, w przeciwieństwie do innych łagierników, którzy listy i paczki otrzymują. Jak mogła rodzina wysyłać ojcu, gdy

nawet matce samotnej z czwórką małych dzieci tego nie chcieli robić. Prosi ojciec siostrę, aby zawiadomiła żonę a naszą mamę, że istnieje i żeby również wysłała paczkę z żywnością. Ojciec pisząc ten list, to nic nie wiedział o tragedii naszej rodziny i o tym, że jego siostra również nic nam nie pomagała, aby nas utrzymać przy życiu, bo ją nic nie obchodziło albo się panicznie bała.

Trzeci list kieruje ojciec, pisząc do jakiegoś mi nieznanego Gastółka i też pisany był w j. rosyjskim. Również jak w poprzednich listach prosi Gastółka i powiadomienie rodziny i krewnych o tym, że żyje i jest zdrow oraz prosi o paczkę z produktami żywnościowymi. Pierwszy list z 1 stycznia 1941r. i był adresowany do brata Władka i Jego rodziny, których na swojej gospodarce od roku już nie było w Siechieniewszczyźnie. Drugi natomiast był list z 4 lutego 1941r. i pisany był do swojej siostry a mojej ciotki Paćkowej, a trzeci pisał pewnie do swego kolegi Gastółka, który mieszkał w naszej kolonii Siechieniewszczyzna. Cytuję wszystkie trzy listy naszego taty ze stycznia i lutego 1941r:

1 stycznia 1941r.

Witaj Drogi Bracie i rodzinie

Składam Wam życzenia na Nowy Rok. Życzę Nowego Roku dobrego i szczęśliwego. Osobny pokłon ojcu, siostrze, bratu Władysławowi Niebrzegowskiemu i żonie z dziećmi. Napisałem list do Frani, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Nie wiem co się dzieje z moją żoną i dziećmi. Proszę mnie powiadomić. Pokornie proszę, przysłijcie paczkę z tytoniem, papierkami i zeszyty papieru do pisania. Paczka bardzo potrzebna, słoniny, kielbasy, cukru, smalcu, masła, sucharów, czosnku, cebuli. Ja bardzo potrzebuję bandażu do przepukliny, czyli paska. Kupcie w aptece na prawą stronę. Proszę zawiadomcie, kto od nas wyjechał. Jeszcze proszę o kamizelkę ciepłą na plecach. I do brata pisałem list, ale odpowiedzi nie otrzymałem. Proszę wybaczyć, że wszystkich was proszę o paczkę. Ale paczka nie może być ciężka niż 8 kg. Można dwa razy w miesiącu. Do widzenia.

B. Niebrzegowski

4 lutego 1941r. Bolesław Niebrzegowski

Droga siostrzyczko! Jestem żyw i zdrow. Nisko kłaniam się. Dużo pisałem i wysłałem w rodzinne strony, ale odpowiedzi nie otrzymałem. Wszyscy moi towarzysze otrzymują listy i paczki a ja sierota. Więc proszę Cię nie odmów i zawiadom wszystkich, że ja żyję i proszę o pomoc, czyli o paczki, to postaraj się. Ja o tobie nie zapomnę i podziękuję. Zawiadom moją żonę, niech i ona postara się o paczkę, tłuszczu, papieru i machorki.

Drogi Gastółku! Kłaniam się nisko. Proszę Ciebie, zawiadom moją żonę i krewnych, że ja żyw i zdrow i proszę o przysłanie bandaża pod prawą stronę i paczki z tłuszczem, tzn. słoniny, mąki albo kielbasy, papieru do pisania i do palenia machorki jak najwięcej. Proszę nie odmawiać mojej prośbie. Zawiadom wszystkich moich krewnych i żonę. Do widzenia

Wreszcie już wie ojciec, że nas już nie ma w Siechieniewszczyźnie, ale nie wie nadal gdzie jesteśmy. Prosi właśnie w liście pisząc do swego szwagra Bolka Fajkowskiego, aby podał adres naszej mamy na zesłaniu. Będąc w łagrze nie wiedział nawet, że był tak blisko nas, bo zaledwie 150 km. Cieszy się również z tego, że brata żony Bolka nie zabrano razem z nami a jednocześnie żałuje pobytu Glinkówien na Sybirze. Wszystkich żałuje a tak mało docieka prawdy, dlaczego wywieziono jego żonę z dziećmi. Dlaczego? Kto był powodem naszego podania na listę na Sybir? I takich **kto**, jeszcze więcej trzeba zapytywać. Jest tato bardzo towarzyski jak wynika z listu i pyta nawet o Mazurków i o swego brata Władka. Gdzie są? Wujek Bolek Fajkowski widocznie na podstawie listów mamy i kuzynki Kazi Glinkówny, opisał mężowi swojej siostry jak wyglądała nasza deportacja i jakie panowały wtedy warunki pogodowe. Dlatego tato w następnych listach swojej żonie i dzieciom bardzo współczuje. Mocno się dziwi, że nawet mogliśmy coś takiego przeżyć. Pisze również, że jest skazany na 3 lata i jest pod ścisłym dozorem. Bardzo prosi obydwu braci swojej żony Frani, tj. Bolesława i Ludwika Fajkowskich o pomoc pieniężną dla ich siostry, która jest w potrzebie. List ojca z 24 lutego 1941r. był już pisany w j. polskim, ale bardzo kaleczonym. Przez okres pobytu w łagrze bardzo ojciec się **zruszczył**. Dużo zdań i wyrazów jest niezrozumiałych i bez sensu. Cytuję list mego ojca Bolesława

Niebrzegowskiego z łagru na Sybirze, pisany do brata naszej mamy Bolesława Fajkowskiego mieszkającego w Polsce:

24 luty 1941r.

Kochany Bracie Bolesławie!

Pocztówkę otrzymałem. Bardzo dziękuję. Dobrze, że ciebie zostawili. Glinkówny żeby jeszcze pozostały na miejscu. Jak przeczytałem to jakby mnie kto nóż wbił w serce. Może los nasz taki. Może Bóg da, że naprawi się z czasem. Będę Cię prosił, jak list otrzymasz, poślij mi adres Frani. Ja do Frani napisałbym. Proszę Cię bardzo. Gdzie się nasze Władki znachodzą i Mazurki. Napisz czy Frania.... czy komu? Moje dzieci czy zdrowe? Czy żyją wszyscy? Gdzie się ojciec znachodzi? Nas spodziewa się musi była najgorsza podróż Frani? Był mróz, że w wagonach nie pomarzły. Pisałeś do mnie starał? Ja jestem skazany na 3 lata. W Brześciu odrobie może. Spodziewam się, że zdejmą jaki rok. Jestem pod nadzorem. Będę się starał do prokuratora pisać do Moskwy głównego. Nie wiem czy pomoże to. Jak otrzymasz list będę prosił papieru poleconym. Ja to sobie opłacę. Ze Skoków Skowron 3 pсылki jego żona zdaje na pocztę w Brześciu przyjmują. Bardzo potrzebny bandaż-pas. 20 złotych przekazem otrzymałem. Proszę Bolesława i Ludwika żebyście Frani posłali pieniędzy. Pozdrowienia Ludwikowi i Wam.

B. Niebrzegowski

P.S. dopisek kilka słów z boku - nieczytelny

W następnym liście z 6 lutego 1941r. lub 6 marca, bo tak wynika z treści listu, ojciec pisze do brata swojej żony, że już ma kontakt listowy z naszą mamą i z bratem Władkiem. Spokojny jest o dzieci, bo są zdrowe. Jest bardzo ciekawy tata co do naszej gospodarki i prosi o dokładny opis oraz co jeszcze tam zostało z inwentarza. Dziękuje wujkowi Bolkowi za wysłane do niego ruble. Ten list również jest pisany w j. polskim i jak poprzedni mocno kaleczony w słowach i zdaniach. Cytuję list mego ojca Bolesława Niebrzegowskiego z łagru na Sybirze do brata mamy Bolesława, mieszkającego w Polsce:

6 marca 1941r.

Kochany Bolesławie!

Pisałem już do Bolesława dwa z teraz otrzymałem trzeci. Serdecznie dziękuję Bolesławowi. I od Frani otrzymałem kartkę i od Władców naszych jedną kartkę. Pisała Frania do mnie, że dzieci zdrowe, 15 lutego dowiedziała się o mnie, że żyję i tu się znajduję /nachoce/. Frania jest dalej 400...? Ja pisałem do Frani, żeby się ona starała. Prędzej by to pomogło mnie. Ja się stąd wyrwać sam nie mogę. Jestem....? pracuję w zonie, taki obóz pracy, w nocy jestem stróżem. W baraku w dzień śpię jak wszyscy do roboty chodzą. Dobrze jakby napisał Bolesław co robi na tej samej gospodarce i w budynkach naszych. A kto Bolesławowi gotuje. Niech mnie wiele opisz o inwentarzu. Podaję że otrzymał 20 2tox /rubli/?.Bardzo dziękuję Bolesławowi. Mnie z Brześcia mieli przysłać, ale nie przysłali. Może by czasem Ludwik w Brześciu na poczcie ze Skoków spod Brześcia w naszej gminy 4 przesyłek?

B. Niebrzegowski

Ostatni list ojca z łagru zachowany w moich zbiorach to właściwie prośba do brata mamy Ludwika i jego żony oraz do ojca mamy Antoniego Fajkowskiego i do reszty rodziny zamieszkałej w Siechieniewszczyźnie. Trudno jeszcze ojcu zrozumieć, że kto był zesłany na Sybir to już nie wracał, bo pyta czy pozostałe dwie Glinkówny, tj. Marysia i Antosia są już w Siechieniewszczyźnie. Dowiadując się o tragicznej sytuacji bytowej swojej żony z dziećmi na Sybirze, błaga szwagra Ludwika i jego żonę o pomoc dla naszej mamy zapewniając jednocześnie, że w przyszłości wynagrodzi ten trud. Przypomina równocześnie Ludwikowi, że oni sobie jakoś poradzą będąc na miejscu a Frani jest nadal bardzo ciężko. Już nie prosi ich o pomoc dla siebie a tylko dla żony i swoich dzieci. List pisany jest raczej w nastroju dość swobodnym, zupełnie innym niż listy mamy. Cytuję list mego ojca Bolesława Niebrzegowskiego z łagru na Sybirze z dnia 1 kwietnia 1941r. i pisany był do brata żony najstarszego Ludwika i bratowej, do ojca mamy Antoniego Fajkowskiego oraz do kochanej rodzinki zamieszkałej w Polsce:

Łagry 1 kwietnia 1941r.

Kochany Bracie Ludwiku i Bratowo, Kochany Ojcie, Kochana Rodzino!

Że się tak stało żeśmy się rozsypali po świecie, to taka nasza dola. Spodziewam się, że się to naprawi. Ja otrzymałem list od Bolesława niewesoły, że się tak stało. Najgorzej, że Glinkówny poumieraly Bolesław pisał. Od Frani otrzymałem 2 listy o Glinkównach. Nie napisała nic na co umarły, z czego. Najgorsza dola tych sierot. Ja jeszcze nie wiem, czy Marysia i Antosia Glinkówny są u Was, czy z Franią, czy w Siechieniewszczyźnie. Proszę napisać mi. Otrzymałem od Bolesława w liście parę kart listowych. Bardzo jemu dziękuję. Ja od Frani 150 kilometrów. Ja jestem w zakluczeniu pod nadzorem jestem. Do Frani jechać nie mogę. Frania stara się żeby mnie stąd wyrwać. Ja dostałem 3 lata. Już odeszło 14 miesięcy a 22 spodziewam się, że mi zdejmą. Czy z Redów rodziny został kto? Przepraszam Was i proszę Cię kochany bracie Ludwiku i bratowo pomagajcie Frani, co możecie. W domu poradzicie sobie. Że się tak stało, ja wam w życiu wynagrodzę, prosiłbym bardzo. Ja sobie poradzę jakoś. Ja się cieszyłem, że mnie obiecujecie przysłać pasek. Najlepszy on dla mnie. Jak zdrowie ojca, Bolesława, waszego całego domu? Jak wam idzie gospodarstwo? Teraz składam wam życzenia całej rodzinie waszej Wesołego Alleluja, Alleluja, Święta Wesołego. Prosiłbym was o odpis listu. Do widzenia, do miłego zobaczenia.

B. Niebrzegowski

Zachował się list na kartce pocztowej wujka Bolka Fajkowskiego i przez zapomnienie nie wsadzona do paczki z żywnością do mego ojca w łagrze. Widać od razu czytając kartkę wujka, że ma się do czynienia z nauczycielem. List pisany jest zwięźle i zrozumiale i dobrej budowie zdań. Wujek tłumaczy się ojcu, że nie ma już co wysyłać i za co.

Zanim będę cytował treść tego krótkiego listu, to opiszę dalsze dzieje wujka Bolka Fajkowskiego aż do Jego śmierci. Po repatriacji na tereny o nowych granicach Polski, wujek Bolek nadal był kawalerem i przyłączył się do rodziny swego starszego brata Ludwika i razem z nimi gospodarował w Odechowie k/Łęczycy na 36 hektarowym gospodarstwie od 1945r. Po II wojnie światowej, gdy już wróciliśmy razem z moją siostrą Genią do kraju jako pełne sieroty, to u Fajkowskich w Odechowie byliśmy już w lipcu 1946r.. Następnym razem byłem i widziałem się z wujkiem Bolkiem dwa razy

w 1955r., tj. we wakacje i w święta Bożego Narodzenia. Ostatni raz widziałem się z wujkiem Bolkiem w 1959r., również dwa razy, tj. na weselu Tereski Fajkowskiej³⁰ w kwietniu oraz w wakacje w lipcu. Już później nie bywałem w Odechowie, bo skończyłem Technikum³¹ Rolnicze w Czernichowie k/Krakowa i zacząłem pracować. Będąc tam parę razy u Fajkowskich, to nigdy nie było rozmowy na temat Sybiru, ani też na temat listów od mamy, jak również jakiś dokumentów. W ogóle bardzo mało ze mną rozmawiał wujek Bolek, był bardzo skryty a jak już coś mówił to przeważnie na temat mojej siostry Geni: **co u niej słychać? Gdzie Ona jest?** itp. W pamięci utkwił mi się jako człowiek cichy i pracowity, krzątający się po gospodarstwie. Zdaje mi się, że wujek Bolek za życia, przeżył bardzo rozstanie z nami przy pociągu w lutym 1940r., gdy nas wywożono na Sybir. Następnie musiał ciągle czytać i realizować prośby i błagania mojej mamy, jakie zamieszczała w listach. Według gromadzonych przez wujka Bolka potwierdzeń przekazów wysyłkowych, to wysłał ich do mojej mamy 7 na łączną sumę 450 rubli. Również wysłał 7 paczek żywnościowo-odzieżowych, bo tyle było zachowanych potwierdzeń o wysyłce. Przez swoje bardzo silne przywiązanie się do naszej rodziny, tj. duże zaangażowanie się w pomocy dla ratowania nas od głodu na Sybirze, robił wrażenie człowieka samotnego. Jak go pamiętam zawsze był popychadłem mieszkając u brata Ludwika. Umarł chyba w 1962r. na tzw. uwiąd starczy w wieku 60 lat. Zrobił co mógł a później widocznie się załamał. Dzięki wujkowi przetrwały listy, bo ich nie wyrzucał a tylko ukrywał w swoim kuferku. Dopiero po Jego śmierci odnaleziono listy mamy do wujka i do rodziny. Można było odtworzyć pełny obraz tragedii naszej rodziny na Sybirze i Jej walki o przetrwanie oraz tych, którzy pomagali i tych co nie chcieli pomóc. Cytuję krótki list z kartki korespondentki wujka Bolka i nie wysłanej do mojego ojca do łagru:

Siechieniewszczyzna, 22 maja 1941r.

Kochany Bolesławie!

Przesyłamy Bolesławowi paczkę. Ja włożyłem pasek, cukier, sweter i zeszyt i trzy koperty a Ludwika słoniny i cebuli. Bolesław pisał o ciepłą kamizelkę, ale ja nie mam i nie ma z czego zrobić. Jak Bolesław otrzyma, to niech napisze. Frani po trochu

³⁰ Teresa Fajkowska – urodzona w 1934r., córka Ludwika Fajkowskiego. Od ślubu w 1959r. już z nią się nie widziałem.

³¹ Technikum Rolnicze w Czernichowie k/Krakowa – przebywałem tam w internacie od 1953 do 1959r. do chwili zdania matury.

posyłamy, ale to mało, wciąż pisze z rozpaczą o pomoc, bo zginie. Ja nie mogę posyłać, bo sam nie mam, jestem biedny, nie mogę sobie dać rady. Z obucia i odzienia, bielizny zostało mi się tylko to co miałem na sobie. Trzeba mi więc na obucie, odzienie, bieliznę, podatki, muszę płacić i za konia, czasem musowo kogoś wziąć do pomocy w robocie a darmo nikt nie pomoże. Wiosnę tu mamy bardzo kiepską: mokro i zimno.

F. b. Bolesław

Analizując w skrócie listy Franciszki, Genowefy i Bolesława Niebrzegowskich ze Sybiru do rodziny, która pozostała na swoich gospodarstwach w Siechieniewszczyźnie, to ogólnie można powiedzieć, że w ich treści wyrażona była rozpacz a jednocześnie błaganie o pomoc materialną, pieniężną i duchową. W zdecydowanej większości były to listy mamy, która była przeważnie chora i bardzo liczyła na pomoc pozostałej rodziny. Rodzina to bracia mamy: Bolesław, Ludwik i Czesław a siostry, to Aniela i Genowefa oraz mieszkający we wsi nasz dziadek Antoni Fajkowski. Rodzeństwo mamy Czesław i Genowefa byli w tym czasie w zakonie po stronie niemieckiej. Dwie kartki korespondentki również napisała moja siostra Genia, gdy miała w tym czasie 14 lat. Siostra pisała w imieniu mamy, która w tym czasie była chora. Głód do wszystkiego może zmusić i dlatego też musiała jako dziecko błagać listownie o pomoc rodziny w Polsce. Zaczęły nadchodzić również listy od ojca poczynawszy od 1 stycznia 1941r. o treści informacyjnej a skończywszy na prośbie o pomoc materialną dla siebie i dla rodziny. Ostatni list ojca to 1 kwietnia 1941r. Listy kuzynek Kazi i Antosi Glinkówien już wcześniej analizowałem i dlatego na tym poprzestanę.

Listy pisane były do poszczególnych członków szerokiej i dużej rodziny, ale adresowane już na brata mamy Bolesława Fajkowskiego, który był kawalerem i przed wojną mieszkał razem z nami a później jeszcze do maja 1945r. tam przebywał. Prawdopodobnie tych listów nikt nie oglądał a paczki i pieniądze to sam wysyłał do naszej mamy na Sybir. Mógł jedynie informować rodzinę o takich listach a jednocześnie prosząc ich aby ewentualnie włączyli się do tej akcji. Treść tych listów w połowie jest prawie jednakowa, w których błaga mama o pomoc materialną i modlitwę w naszej intencji. Oprócz prośb o pomoc, autorzy listów opisują w jakich warunkach nas wywożono na Sybir, warunki tam panujące, walka o przetrwanie, o chorobach i o różnych cierpieniach. Cierpienia matki samotnej obarczonej czwórką

małych dzieci będącej na Sybirze bez męża, to zupełnie osobny rozdział, któremu wypadałoby poświęcić trochę więcej miejsca.

Pierwsze listy mojego ojca pisane po rocznym pobycie w łagrze są o treści informacyjnej a następnie proszenie o pomoc materialną. Również tato prosił swoją żonę a naszą matkę o taką pomoc. Później jak się dowiedział w jakich warunkach my żyjemy i gdzie się znajdujemy, to również błagał rodzinę w Polsce o pomoc materialną dla swojej rodziny, bo w porównaniu z nami jak pisał, jemu mimo wszystko było lepiej.

Pierwszy list mamy był napisany do brata Bolesława i męża w dniu 12 kwietnia 1940r. a ostatnim była kartka korespondentka z 8 czerwca 1941r., również do brata Bolesława Fajkowskiego z prośbą o przysłanie paczki, bo jej córka a moja siostra rozchorowała się na płuca i jak pisze **lepiej ją trzeba odżywiać, kupić mleka i jakiegoś tłuszczejszego jedzenia**. Również zachowała się kartka korespondentka napisana a nie wysłana z Polski przez zapomnienie włożenia jej do paczki do mego ojca przez wujka Bolka z dnia 22 maja 1941r. Kartka informowała, co było wysłane w paczce oraz zapewnienie, że **Frani potrochu posyłamy, ale to mało, wciąż pisze z rozpaczą o pomoc, bo zginie. Ja nie mogę sobie poradzić, bo sam nie mam, bo jestem biedny, nie mogę sobie dać rady**.

Ilość paczek, jakie wysyłał wujek Bolek do nas na Sybir była rzeczywiście mała w stosunku do potrzeb a nikt prawie z rodziny i ze znajomych nie chciał się włączyć, aby pomóc mamie, która była sama z małymi dziećmi bez ojca. Z chwilą wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, nie było już możliwości wysyłania paczek i trzeba było dawać jakoś sobie radę, a później pomału umierali moi najbliżsi z głodu.

Czas nadziei

Kończyła się kolejna zima, już druga i następowało szybko lato w 1941r., a my nadal byliśmy na zesłaniu w Zorze w obwodzie archangielskim i nadal traktowani jako element antysowiecki. Wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i każdy zesłaniec cieszył się z tego, bo liczył, że coś się może zmienić. Rzeczywiście doczekaliśmy się tzw. „amnestii” na mocy **układu-umowy Sikorski - Majski z 30 lipca 1941r.** Walczono w umowie o nie umieszczenie słowa **amnestia**, gdyż słowo to stwarzało pozory wspianiałomyślności Rosji wobec 1,5 mln obywateli polskich niewolniczo deportowanych. Jednocześnie z chwilą wybuchu tej wojny niemiecko-sowieckiej, automatycznie ustały przesyłki listów, paczek i pieniędzy. Szczęściem dla nas, że to było lato i jak wcześniej wspominałem, ta część pory roku najbardziej była dla nas sprzyjająca, bo nie pozwalała zginąć z głodu. W lecie również wróciliśmy na poprzednie miejsce do Wardy. Tam już nie było ostatnich dwóch sióstr Glinkównien. Starsza Antonina umarła na uraz głowy na skutek nad troskliwości nad opieką niewiele młodszej o cztery lata Marysi. Młody organizm piętnastoletniej dziewczyny nie wytrzymał tak silnego stresu, tj. silnego obciążenia psychicznego i musiała Antosia umrzeć. Najmłodszą kuzynkę Marysię wzięto do Rosyjskiego Domu Dziecka w tym samym powiecie, tylko po drugiej stronie Dwiny Północnej.

Na mocy układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941r. złożone w Izbie Gmin w Londynie oraz Dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR udzielenia amnestii obywatelom polskim pozbawionym wolności na ich terytorium z dnia 12 sierpnia 1941r. w Moskwie. Na mocy tego powyższego układu został uwolniony nasz ojciec z łagru i we wrześniu już jako wolny człowiek przebywał w Kirowie. Było to dosyć duże miasto, oddalone od miejsca naszego zesłania o ok. 700 km na południe. Ojciec chciał koniecznie abyśmy wszyscy przyjechali do niego i jakby nasza mama była mniej bojaźliwa i od razu zdecydowała się jechać we wrześniu, to być może nie doszło by do przyszłej naszej tragedii rodzinnej. Tato nie mogąc się doczekać swojej żony z dziećmi, sam wyruszył do swojej rodziny dopiero w listopadzie 1941r. Podobno Jego droga według opowiadania mojej siostry, była bardzo uciążliwa. Po wyjściu z łagru, ojciec był bardzo słaby i głodny. Był ubrany byle jak, bo tylko w tym więziennym stroju a o tej porze na północy panowała już sroga zima.

O ciężkiej sytuacji obywateli polskich zesłanych na stracenie w północne rejony ZSRR mówi *Dokument 160 w notatce zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych A. Wyszyńskiego w rozmowie z ambasadorem RP w ZSRR S. Kotem, Kujbyszew, 19 listopada 1941r. W notatce tej sporządzonej po rozmowie ambasadora S. Kota ze Stalinem stwierdza się, że omawiano m.in. sprawę pełnej realizacji amnestii. Ambasador S. Kot akcentował również konieczność przesiedlenia Polaków znajdujących się w północnych rejonach ZSRR na południe jak najszybciej, jeszcze przed nadejściem zimy.*

W Dokumencie 27 S. Kot - A. Wyszyński z 26 stycznia 1942r., Wyszyński informuje o samowolnym porzucaniu miejsca zamieszkania przez obywateli polskich w północnych terenach ZSRR i kierowania się ich na południe w sposób niezorganizowany. Faktycznie miały miejsce takie w obwodach archangielskim, nowosybirskim i wołogodzkiem. Ambasador Kot odpowiada, że dzieje się to na skutek nie uregulowanej dotychczas, wielokrotnie podnoszonej przez niego, sprawy planowanego przesiedlania Polaków twierdząc, że na północy klimat jest zbyt ciężki aby mogli przetrwać. Właśnie w archangielskim obwodzie i republice Komi są takie okolice i taki rodzaj pracy, że całe rodziny po prostu wymierają, nie mogąc w nich wytrzymać. Prezydent Stalin powiedział, że zgadza się na nasz wniosek, zapytując jak sobie wyobrażam rozwiązanie tej sprawy. Ambasador Kot odpowiada, że Polacy z północnej części Syberii mogliby kierować się do Altajskiego Kraju, w okolice Barnaułu i do Nowosybirska, co zaś do europejskiej części ZSRR a zwłaszcza oblasti archangielskiej i Komi powiedziałem, że nie wiem dokąd można by ich kierować. Wówczas prezydent Stalin sam rozstrzygnął, że powinni jechać również na południe do Turkmeńskiej Republiki poprzez Południowy Kazachstan i Uzbekistan aż za Ałma-Atę.

Dokument 197. Nota Ambasady RP w ZSRR do LKSZ w sprawie zezwolenia na kupno tranu dla obywateli polskich znajdujących się w obwodzie archangielskim. Kujbyszew, 19 lutego 1942r. W nocy stwierdza się, że Delegatura Ambasady RP w Archangielsku donosi, że w Archangielskiej oblasti szerzy się wśród obywateli polskich kurza ślepotą, przy czym ilość chorych dochodzi w niektórych miejscowościach do 40% ogólnej liczby obywateli polskich. Najważniejszym środkiem

leczniczym na tą chorobę powodowaną jak wiadomo nieodpowiednim odżywianiem się, jest rybi tran.

Jak wynika z tych oficjalnych dokumentów z notatek ambasady RP w Kujbyszewie w latach 1941-1943, zdawano jednak sobie sprawę jak cierpią rodziny zesłane w północne tereny ZSRR. Wszystko robiono, aby tym rodzinom ulżyć i niektórym z nich udało się w początkowym okresie wyjechać z tych terenów północnych na południe. Większość rodzin musiała tam jednak pozostać nadal i czekać na okazję aby móc wyjechać. Rodzinom znanym mi, którym udało się wyrwać z tego ciężkiego, malarycznego klimatu w jesieni 1941r. na południe ZSRR to: Redowie, Antonowicze i Mazurki. Te dwie ostatnie rodziny, to córki z mężami i dziećmi stryja Władka Niebrzegowskiego. Stryj z żoną i dwoma synami został nadal w Warnie w obwodzie archangielskim.

Cierpienie i śmierć najbliższych mi osób w mojej rodzinie

Jak z powyższego wynika moim dwóm starszym kuzynkom z rodzinami udało się w swoim czasie wyjechać na południe ZSRR i nawet szczęście im sprzyjało i po wielu trudach wojennych mogli cieszyć się pełnymi rodzinami, czego nie mogę powiedzieć o swojej rodzinie. Przykładem tego będzie końcowa najdłuższa część pamiętnika mojej siostry. Cytowana część obrazuje najbardziej dramatyczną walkę rodziców moich o życie swoich dzieci a moich braci. Jednak im się to nie udaje i sami będąc ciężko chorzy również umierają. Opisuje też moja siostra w tej końcowej części, swoje cudowne uzdrowienie, aby ten najmłodszy członek rodziny nie został sam. Treść kończącego się pamiętnika mojej siostry, to Jej walka o przetrwanie swoje i moje:

Przyszła wiosna w 1941r. choć głodna ale radosna, poszła mamusia do pracy o 9 kilometrów od nas, nie mieliśmy wcale ani pieniędzy ani co jeść. Tak kilka dni przymieraliśmy głodem. Po pewnym czasie przyjechaliśmy na stare miejsce z wielkiej konieczności. Nastąpiło lato, zbieraliśmy grzyby i jagody na sprzedaż, aby za te pieniądze kupić chleba. Trochę dostawało się chleba, zupy gdy były pieniądze, o które było jeszcze wtedy bardzo trudno. W roku 1941 na jesieni byliśmy trochę uwolnieni od częstego sprawdzania naszej obecności przez władze tak, że można było wyjechać do innych województw. W tym czasie otrzymaliśmy od tatusia list, że jest uwolniony z więzienia, jest w Kirowie, prosi żebyśmy przyjechali do niego. Wielkie miała trudności wyrobienia papierów na wyjazd, a tak bała się wyruszać w drogę bez dokumentów, pieniędzy i żywności wyruszając w drogę. Część ludności wyjechało, ponieważ byliśmy bez tatusia trudno było wyjechać z braku pieniędzy i odwagi. Marysia? Pierwszy śnieg spadł i brzegi rzeki były już zamarznięte. Pozostała ludność, która jeszcze nie wyjechała postanowiła wymknąć się jeszcze przed zimą i wraz z nimi moja rodzina. Każdy spakował swoje rzeczy, które mu pozostały, a których jeszcze nie zdążyli sprzedać lub porozdawać. W nocy wszyscy wyruszyliśmy na stację rzeczną leżącą od nas o 1 km drogi ale statków nie było w nocy i cały dzień, aż na drugą noc około dziesiątej godziny dwa statki a brzegi były zamarznięte, lód był na brzegach rzeki, przystań była już odprowadzona tak, że nie mogły dojść do brzegu. Wszystkie naczelniki też powychodzili i atakowali telegramy coś poczną z robotą, gdy wyjadą stąd Polacy. Tak, że statki odjechały a ludność w rozpacz pozostała na lądzie. Gdy

wróciliśmy z powrotem do Wardy to baraki były już pozabijane deskami, pomimo tego ludzie rozwścieczeni wszystkie poodbijali, jednak za karę przyjaciele postanowili jeść nie dawać. U nas zapasów absolutnie nie było. Pierwszy dzień było jeszcze kawałek chleba, każdy dostał po kawałeczku jak lekarstwa, na drugi już tylko od zaspokojenia płaczu otrzymał trochę chleba najmłodszy braciszek, trzeci dzień już nie było nic, rano dostaliśmy z łaski litr piekącej sojówki, to można było porównać do najlepszych smakołyków. W dalszym ciągu dnia słychać było popłakiwanie „jeść mamó jeść”. Silny wiatr sybirski szumiał za oknami i zapadała noc. Czwartego dnia o brzasku u każdego z nas żołądek ścisnął. Dwóch braciszków płakało w głos „jeść, jeść i jeść” Boże! Jak można wyobrażać sobie musiało być i z boleścią słuchać matczyne serce dziecięcego płaczu „jeść” a dać nie było co. Dzień wydawał się rokiem. Tadzio był najmłodszy i płakał bez ustanku, dostał od stryjenki kawałeczek suchara ale na ten głodny i wycięczony żołądek to mało. Takich ponurych głodnych dni zeszło 6. Siódmego dnia wieczorem otrzymaliśmy dwa kg chleba a mateczka dostała pracę w łaźni jako dozorczyńni. Musiała codziennie wyciągnąć do góry na sznurku dziesięć beczek wody i inne zajęcia miała. Niedługo tak potrwało, w końcu listopada zachorowała z przesilenia, zaziębienia i głodu sześciodniowego zostałam ja z bratem (w listopadzie 1941r., ja miałam 15 lat, Czesio miał 10, Wenio 8 a Tadzio 4 lata), dla nas robota była stanowczo za ciężka. Wyciągając wiadro wody i chcąc wylać do olbrzymiej beczki wyższej od siebie, często wylewała się woda na mnie a brat stał na dole i wkładał wiadro do wody aby prędzej nabrać. Pomimo tego woda przelewała się na dole z beczki przywożącą z rzeki koniem przez mężczyznę tak, że Czesio stał po kostki w wodzie. Za kilka dni i on zachorował, zastąpił go w tym drugi brat Wenio, który miał 8 lat. Potrwało to kilka dni i zachorował Wenio, ja też musiałam odejść, bo byłam bardzo zaziębiona. Chodziłam po chleb, zupę, wodę gotowaną i spełniałam niektóre drobne obowiązki domowe.

Pewnego wieczoru a było to w listopadzie 1941 roku przybiega ktoś do baraku z nowiną, że jakiś mężczyzna pyta się o Franciszkę Niebrzegowską. Niewiele myśląc wybiegłam na dwór i tam właśnie spotkałam swego tatusia, który pół roku przedtem wyszedł z więzienia i był w oddaleniu od nas. Ubranie miał na sobie więzienne, to też czapkę, która przeraża mnie jeszcze teraz. Kurtkę, która miała wypalone całe plecy podczas ogrzewania w czasie pracy niewolniczej, tego rodzaju spodnie i buty, który jeden ważył kilka kg i z piętą na wierzchu. I tak w otoczeniu kilku osób przyszliśmy do

baraku, gdzie ojciec zastał tam chorą matkę i dwóch synów. Ścisnęło się serce ojcowskie na ten widok i jednocześnie radość była, że jeszcze zobaczył się z nami ale postacie leżące zgnębiły go. Nastaly dni normalnego życia sybirskiego. Tatusz chodził w tym lichym ubraniu do pracy na rzekę wykluwać drzewo z lodu razem ze stryjkiem, kiedy wpadł pod lód i kiedy wrócił cały był obmarznięty, zaziębł się.

Na początku stycznia przyszłego roku, tj. 1942 choroba stała się niebezpieczna, nic nie pomogły wszelkie zabiegi rodziców. 16 stycznia 1942r. wieczorem trzęsąc się z zimna Czesio, nakryty czym tylko było można, prosił by mu ktoś usiadł na nogi, robiono to sztucznie, On nie wiedząc mówił, że nikt nie wsiada, po chwili zamilkł, w końcu mateczka zagląda a tam już trup. Posłano po ojca, bo był w sklepie czekając na chleb, przybiegł rozżalony, płakał biedny rzewnymi łzami za Czesiem³².

Serce stwardniało mi, ani jednej łzy nie uroniłam, ból rozdzielał mi piersi, stałam jak nie siostra. Gdy jeden leżąc na łożu śmiertelnym a drugiemu w tym czasie choroba na dobre zapanowała, patrząc obłąkanymi oczyma na zmarłego nie wiedząc co czyni płakał. Później gdy nie chciał przyjmować wcale jedzenia, ojciec rozpaczony zmusza go do jedzenia mówiąc, że umrze jak nie będzie używał potraw. Biedny przez siłę jadł byle tylko nie umrzeć. Mateczka dniami i nocami siedziała przy nim, lecz w nocy gdy palił się kaganek leżał na wznak, z prawej strony jego mamusia leżąc przy nim wsparła się na ręce i zdrzemnęła się a ja byłam po lewej stronie. Nagle uderza rączką po twarzy i krzyczy „Mamo” i w tym momencie duch jego uleciał na wieczność od nas. Trzęsła go mamusia myślała, że jeszcze przynajmniej na chwile go obudzi, ale On już zasnął na wieki, była to godzina 2-ga 22 I 1942 roku. Rano o ósmej zmarł stryjek, który wpadł niedawno do wody na rzece przy pracy. Zostało nas tylko czworo - rodzice, brat i ja.

Zaczęła coraz więcej rozwijać się choroba „zaraza”, nędza i głód. Ludzie zaczęli łapać psy, w końcu i tego zabrakło. Ojciec Zszedł tak styczeń, luty i marzec 1942 roku. Chleb otrzymywało się na kartki, zaraz na początku kwietnia zgubione były duże kartki na chleb. Mamusia już chora bardzo, choroba się podwajała od

³²Zaświadcza się, że w Archiwum Państwowym województwa archangielskiego znajdują się dokumenty świadczące o tym, że Niebrzegowski Czesław syn Bolesława zmarł w dniu 16 stycznia 1942 roku na skutek zapalenia jelita grubego i odry. Dyrektor Archiwum L. I. Rogatych – podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła z herbem Republiki Rosyjskiej. Treść napisu na pieczęci: Rada Ministrów Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Archiwum Państwowe województwa archangielskiego.

śmierci braci Czeška i Wenka³³. Ciągłe żółdek „dysenteria” i opuchnięcie posuwało się coraz więcej, aż na samym początku kwietnia mamusia dostała ataku sercowego ale przeszło. Wielkanoc była 5 IV 1942r. straszna przy psinie. Mama w styczniu już zachorowała a w kwietniu wcale nie wychodziła, puchnięcie podchodzi coraz wyżej i dochodzi do lica. Piętnastego na szesnastego kwietnia w nocy mamusia dostaje drugiego ataku „w nocy coś mówiła do mnie ale ponieważ byłam również chora i wcale nie pamiętam co mówiła i do tej pory nie wiem jakie ostatnie słowa były wyrzeczone do mnie”. Rano była już nieprzytomna i od godziny 6-tej do 10-tej strasznie się męczyła „Boże jaka to była ciężka chwila”. O godzinie 10-tej zostaliśmy już sierotami po matce³⁴. Po ciężkich mękach w tym buchnięciu krwi z nosa, ust i uszu, gdy zasnęła na wieki nieprzytomna to po opuchliznie, która już była pod samym wierzchem, popłynęła strugami woda pod łóżkiem. Gdy leżała na łożu śmierci pamiętam ją jeszcze jak dziś, cała żółknięta i zsiniała. Nie mogłam nawet tej ostatniej usługi złożyć dla mej mamy i iść na cmentarz. Później często chodziłam do borów wschodnich, by zobaczyć jej ducha. Ojczulek sam powędrował za trumną jak i za braćmi, przyszedł zmęczony, musiał nawet zrobić trumny. Po pogrzebie całej naszej rodziny...?

W kwietniu dni od początku do końca słoneczne, w tym miesiącu wcale nie chodziłam a natomiast cała opuchłam, nieraz na kolanach wykonywałam niektóre czynności. W maju zaczęłam chodzić do tych borów jak wyżej wspominałam, opuchlizna zeszła ale doktorzy tamtejsi zalecali tylko żebym przesiadywała zawsze w lesie sosnowym, bo innych leków nie było. Rzeczywiście wyglądałam strasznie, tak jak się okazało to nie była ta choroba, którą uznali. Na dysenterię chorowałam 8 miesięcy w sposób okropny, o diecie nie było mowy, to nic dziwnego, że wyglądałam tak, że raczej szkielet chodzący aniżeli człowiek. Słyszałam nieraz z raną w sercu jak ludzie mówili, że już trzeba liczyć dni mojego życia na palcach. Prosiłam już ojca w czym ma mnie pochować ale stało się inaczej. W lipcu zaczęłam nabierać siły. Może

³³ Zaświadcza się, że w Archiwum Państwowym województwa archangielskiego znajdują się dokumenty świadczące o tym, że Niebrzegowski Wenenty syn Bolesława zmarł w dniu 22 stycznia 1941 roku (błąd w pisaniu albo w księgach archiwalnych, bo powinno być 1942) na skutek zapalenia płuc i odry. Dyrektor Archiwum Ł.I. Rogatych – podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła z herbem Republiki Rosyjskiej. Treść napisu na pieczęci: Rada Ministrów R.S.F.S.R. Archiwum Państwowe województwa archangielskiego.

³⁴ Zaświadcza się, że w Archiwum Państwowym województwa archangielskiego znajdują się dokumenty świadczące o tym, że Niebrzegowska Franciszka córka Antoniego zmarła w dniu 16 kwietnia 1942 roku na skutek choroby serca. Dyrektor Archiwum: Ł.I. Rogatych – podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła z herbem Republiki Rosyjskiej. Treść napisu na pieczęci: Rada Ministrów R.S.F.S.R. Archiwum Państwowe województwa archangielskiego.

dlatego, że całą chorobę ciężką przechodziłam, nieraz padałam i nie mogłam się podnieść. Dzieci małe uciekały widząc mnie. Dotąd niezbadaną i dotąd nie wiem dokładnie na co zasadniczo chorowałam.

Po śmierci matki ojczulek³⁵ pracował na posiołku i zawsze mówił, że go nogi bolały, aż w drugiej połowie lipca położył się do łóżka z opuchniętymi stopami i chorym żołądkiem. Nie trwało to długo, choroba się rozwijała, przy końcu lipca nie wstawał, apetyt zmalał, żołądek wcale nie pracował, opuchlizna podchodziła coraz dalej, wiedząc nieborak, że umrze uprzedzony przez stryjenkę. 25 sierpnia 1942r. przeczuwał to już, gdy chciałam iść na jagody, zatrzymał mnie i strasznie rozplakał się jak małe dziecko. Poleciał mi, niektóre rzeczy i dał wskazówki do życia i o 10-tej stracił przytomność a dusza jego odleciała od nas o 12-tej. Ciężkie to myśli wiedząc, że już zostaję sierotą w dodatku na wygnaniu „na dalekim Sybirze”. Był tak strasznie spuchnięty, że nawet po śmierci nie można było wcale włożyć mu spodni. Och, jak nie chciało żadne z nich umrzeć na wygnaniu. Przysięgali wrócić do Polski, być w Domu Bożym i zaraz umrzeć, nie doczekali nieboraki.

Zostałam tylko z czteroletnim braciszkiem. Tadzio chodził do przedszkola a ja przychodziłam częściowo do zdrowia. W zimie żeby nie pomoc amerykańska, to byśmy wyginęli z głodu. Jesień zeszła na drobnym zbieraniu jagód, najwięcej na „posiołku” - kilka baraków wśród lasu. Tak jak spodziewano się, ta zima była dość pobłażliwa dla nas, jak nigdy mrozy dość słabe. Rzeczy (ubrania) amerykańskie, które dostaliśmy, wymieniłam się za nie za kartofle, rzadziej na mleko i inne (100 1) ...?

Pierwsze święta jako sieroty spędziliśmy sami smutno i przykro. Były różne wspomnienia z dawnych lat, tak samo resztę zimy, np.: gdy się pojawiła zieleń (pokrzywy..?) zbierało się wieczorem pokrzywy, lebiogę, czasem rumianek i wszystko razem się gotowało i przy tym dostawaliśmy kartki, na które można było dostać dla nas chleba. Ze zbierania kupiłam trochę różnych placków za kartofle ukopanych po śniegu. Ludzie z początku byli biali, przezroczyści z wyczerpania, później żółkli z tego ziela. Kopało się kartofle rano w kołchozie zgniłe przez nas, latem zbierało się jagody,

³⁵ Zaświadcza się, że w Archiwum Państwowym województwa archangielskiego znajdują się dokumenty świadczące o tym, że Niebrzegowski Bolesław syn Martyna zmarł w dniu 27 sierpnia 1942 roku na skutek awitaminozy. Dyrektor Archiwum: Ł.I. Rogatych – podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła z herbem Republiki Rosyjskiej. Treść napisu na pieczęci: Rada Ministrów R.S.F.S.R. Archiwum Państwowe województwa archangielskiego (według pamiętnika mojej siostry śmierć ojca nastąpiła w dniu 25 sierpnia 1942r.).

grzyby. Jesienią szło się za rzekę na zgniłe kartofle. Na kartofliska trzeba było chodzić ostrożnie, bo można było narazić się śmierci. Często jeździli po polu przyjaciele i tratowali końmi, wtenczas gdzie kto mógł tam się chował.

Następna zima, tj. 1943/44 była straszna, często myślało się, że jeszcze ten miesiąc a w następny przyjdzie się skonać z głodu a zawsze jakimś cudem znajdowało raczej wyciągało się ostatnie już łachy by wynosić gdzieś daleko na wieś i przynieść trochę kartofli za to. Nieraz wychodziło się z domu z pustym żołądkiem i cały dzień trzeba było się szwendać o głodzie z sankami, by dostać kilka kilogramów kartofli. Wracało się często późno nocą, nie jeden raz wiatr ze śniegiem w oczy dmuchał, droga była zasypana ...?

Zimą 1941/42 sytuacja cywilnych Polaków w Rosji znacznie się pogorszyła. Wielu spośród wypuszczonych z niewolniczych obozów, natychmiast aresztowano ponownie, jak również wielu rozstrzelano za tzw. sabotaż. Wskaźnik śmiertelności wśród dzieci polskich osiągnął tej zimy 80%. Informacje wskazywały na to, iż naród nasz głodem, przymusową pracą i terrorem sprowadzono do po poziomu życia zwierząt.

Aby wyjaśnić niektóre zapisane fakty w pamiętniku mojej siostry, to np. Przybycie naszego taty do Wardy na miejsce naszego zesłania było pod koniec listopada 1941r. i dalej podaje, że był zwolniony z więzienia pół roku wcześniej. Pół roku wcześniej w maju 1941r. jeszcze pisał i wysyłał paczkę z rzeczami wujek Bolek z Siechieniewszczyzny do naszego taty do łagru a za miesiąc wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i wtedy na pewno nikogo nie zwalniano. Dopiero 30 lipca nastąpiło podpisanie układu między rządami polsko-radzieckim o amnestii a dekret o zwalnianiu Polaków pozbawionych wolności na terytorium ZSRR został podpisany 12 sierpnia w Moskwie. Na pewno ojca dopiero zwolniono nie wcześniej jak we wrześniu i właśnie mama we wczesnej jesieni dostała list od taty, gdzie informuje że jest już na wolności i przebywa w Kirowie. Prawdą jest, że ojciec przyjechał do nas w łachmanach, bo widocznie wcześniej jego ubranie zostało już zniszczone albo ukradzione a nic więcej nie posiadał. Dużo szczegółów z pobytu w łagrze musiał opowiadać tato mamie i Geni, bo przecież miała wtedy siostra 15 lat. W pamiętniku prawie nic nie ma napisane o jego warunkach jakie miał w łagrze, a mnie nic na ten temat moja siostra nawet nie wspomniała za życia swego. Widocznie bardzo się bała

opowiadać o ojcu do mnie, bo po wojnie był zakaz i nawet prześladowano tych, którzy tam byli na zesłaniu, bo według NKWD byliśmy tam na wspaniałych wczasach.

Po zaziębieniu się braci w jesieni 1941r., którzy musieli stać w lodowatej wodzie po kostki przy napełnianiu beczki do łaźni, to mimo wysiłków mamy tym razem nie udało się ich wyratować z ciężkiego zapalenia płuc i odry oraz innych chorób. Organizmy braci na skutek trwałego głodu i wycieńczenia przez 2 lata, były mało odporne jako pierwsi z rodziny musieli odejść w zaświaty. Przypuszczam, że śmierć dwóch synów była powodem załamania się fizycznego i częściowo psychicznego naszej mamy. Mama przecież po swoim zaziębieniu się w jesieni 1941r. przy nalewaniu wody do beczki dla łaźni jako tako wydobrzała i dopiero zaczęła choroba ją atakować już po śmierci Cześka i Wenka w styczniu 1942r. Do dyzenterii, tzw. cyngi doszły ciężkie zawały serca i przy drugim organizm już nie wytrzymał. Ojciec natomiast, gdyby nie śmierć synów i żony, również może byłby żył a tak do wyniszczonego organizmu w łagrze a później u nas na zesłaniu w Warnie, doszło załamanie psychiczne i trzeba było opuścić ten świat na zawsze. Tata również umarł na dyzenterię, bo tak nazywali cyngę oraz na awitaminozę. Siostra natomiast jak pisze w pamiętniku, nie miała żadnych szans na przeżycie, ale Pan Bóg widocznie chciał inaczej, tj. Genię zostawić przy życiu a ojca zabrać do siebie. Przy śmierci ojca ja osobiście nie byłem i dopiero po przyjeździe z przedszkola moja siostra powiadomiła mnie, że nasz tatuś nie żyje. Nic więcej nie mogę napisać, bo jak już wspominałem, całą tajemnicę zabrała do grobu moja siostra, umierając 6 stycznia 1979r. po wypadku samochodowym dwa dni wcześniej.

Analizując życie mojej mamy, które było dość krótkie, głównie na podstawie listów z Wardy oraz Zory do wujka Bolka a trochę z opowiadania różnych osób wydaje mi się, że była ona bardzo osamotniona w swoich poczynaniach na zesłaniu. Zawiodła się całkowicie na swojej bliskiej rodzinie z Siechowiejszczyzny, oczywiście za wyjątkiem brata Bolka. Piszac o tym krótkim życiu mamy, trzeba zadać pytanie: Jak doszło do poznania się i małżeństwa moich rodziców? O tym fakcie dowiedziałem się dopiero od brata najmłodszego mojej mamy wujka Czesława w 1986r. Mama moja przeżyła w młodości, gdy była jeszcze panienką wielką miłość, której owocem było dziecko. Po urodzeniu było bardzo słabe i zaraz umarło. Jako panienka pracowała mama w szpitalu pod koniec I wojny światowej. Pracując tam zaraziła się tyfusem i długo

walczyła o swoje życie. I chyba w jakiś czas po tej strasznej chorobie zakochała się w Krasuskim, który podobno był znany z tego, że potrafił rozkochać w sobie panienki a później je zostawiać. Mieć w tym czasie dziecko nieślubne to było dla rodziny hańbą i wielkim wstydem. Trzeba było coś zrobić z Franią i zdecydowano wydać szybko za męża. Mój ojciec ze swoim starszym bratem Władysławem już zamieszkującym z rodziną za Bugiem, bardzo się lubili i często tato jako kawaler w odwiedziny tam jeździł. Właśnie tam poznał swoją Franię i po pewnym czasie zdecydowali się pobrać i na pewno z miłości. Ojciec pewnie początkowo nie wiedział o całej tej sprawie, ale po ślubie musiał się dowiedzieć. Ślub Bolesława Niebrzegowskiego i Franciszki Fajkowskiej córki Franciszki z d. Niebrzegowska odbył 25 lipca 1922r.³⁶. Ten błąd w młodości widocznie jeszcze decydował o niechęci najbliższej rodziny, łącznie z dziadkiem a tak bardzo uwidocznił się na zesłaniu. Ja byłem szóstym dzieckiem mojej mamy w wieku 38 lat i jak wcześniej pisałem dwoje pierwszych zmarło w dzieciństwie. Zostało nas czworo i aby dobrze prowadzić dom, mama wcześniej skończyła Szkołę Gospodarczą i dla ułatwienia sobie, do pomocy w domu na stałe zatrudniła służącą. O wszystkim przeważnie decydował ojciec i dlatego przyłgnęło do mamy, że była mniej zaradna. Wysoka zaradność i pełna opieka nad dziećmi mojej mamy uwidoczniła się w czasie transportu a w szczególności w czasie pobytu na zesłaniu. Mogę tylko sobie wyobrazić albo nawet i tego nie mogę uczynić, ile było troskliwości i czułości mojej mamy dla konającego dziecka w czasie podróży na Sybir. Mimo, że wiozła już trupa, jak to pisała w liście do swojej siostry, nie traciła nadziei na uratowanie najmłodszego dziecka, bo jeszcze byłem ciepły i iskierka życia tliła się we mnie. Potrafiła bez lekarstw i lekarza wyleczyć mnie z ciężkiego obustronnego zapalenia płuc, robiąc różne nacierania, okłady i inne czynności. Ileż było w tej kobiecie samozaparcia, nadziei i wiary do Boga. Pan Bóg wynagrodził Jej w niedoli, bo przywrócił mnie do życia. Mimo ciężkich chwil stać Ją było na uśmiech i zawsze mamie chyba było gorąco, bo za wszystkim musiała osobiście latać. Wyleczyła mnie z zapalenia płuc, to znowu przyplątało się następne zapalenie u mego brata Wenka, który na wiosnę już na zesłaniu wpadł do rzeki. Znowu Jej cierpienia, udręki

³⁶ Świadcstwo o zawarciu małżeństwa – Wydane na zasadzie ksiąg Stanu Cywilnego. Rzeczypospolita Polska, województwo poleskie, powiat Brześć n/Bugiem, gmina Motykały, Rz.-Kat. Parafia Szczytniki, wieś Małe Szczytniki, poczta Łyszczycy. Rok 1922 nr 12 aktu. Zaświadczam, iż Bolesław Niebrzegowski mający lat 27 z ojca Marcina z matki Tekli z domu Kołtunów i Franciszka Fajkowska, mająca lat 22, z ojca Antoniego, z matki Franciszki z domu Niebrzegowskich, zawarli związek małżeński dnia dwudziestego piątego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Z oryginałem zgodne: dnia 20 lutego 1933r. Prowadzący akta Stanu Cywilnego: Ks. Ignacy Drozdowicz. Za zgodność: wójt gminy Motykały, powiatu brzeskiego – podpis nieczytelny. Pieczęć okrągła z orłem w środku.

i różne czynności pielęgnacyjne. To co miała wydać na chleb, musiała dać lekarzowi. Ale co się nie robi, aby ratować własne dzieci. Widziała i czuła marniejące z dnia na dzień swoje dzieci, ale nic nie mogła poradzić, bo sama jedna musiała zarobić na życie. Była słaba i chorowita, wiedziała o tym i wszystko opisywała w listach do ojca swego, braci i sióstr swoich, którzy pozostali w swoich gospodarstwach w Polsce³⁷. Również pisała do swoich o chorobach dzieci, czyli o mnie i moim rodzeństwie i to ich nie wzruszyło. Tam daleko na Sybirze dzięki Bogu ze mną miała najmniej kłopotu jeśli chodzi o zdrowie, bo najszybciej przywykłem do ciężkich warunków klimatycznych i bytowych. Musiała natomiast wysłuchiwać codziennych moich płaczów i wołań o jedzenie. Wiadomo, że małe dziecko jest bezwzględne o upominanie się o swoje potrzeby pokarmowe. Czasem a może i częściej miała mama dość tych pisków i wołań „**jeść mamó, jeść...**” i tak w nieskończoność. Ileż musiało być bólu w tym sercu matczynym słuchającą jęków własnych dzieci wołających o chleb a jego przeważnie nie było. Były na pewno chwile radości, gdy matka coś zdobyła do jedzenia i widziała zadowolenie w oczach swoich dzieci, które momentalnie wszystko zjadały nie marnując żadnej okruszki chleba. Widząc obecnie dzieci i ich niechęć do jedzenia oraz brak łaknienia, różne grymasy, że to i tamto nie dobre. Wtedy niedobrze mi się robi, bo zaraz widzę obraz głodnych trzech braciszków czekających w zapluskwionym zimnym baraku na powrót mamy i starszej siostry, które wyszły rano aby coś zdobyć do jedzenia i jak przynosiły, były to przeważnie zgniłe ziemniaki. Częste pisanie listów do rodziny a zwłaszcza do wujka Bolka świadczyło, jaką widziała potrzebę dla siebie i swoich dzieci. Bardzo bolała nad tym, że rodzina i znajomi pozostający w Polsce nie chcieli ją uznać jako sierotę z małymi dziećmi.

³⁷ Drugi powód obojętności w niesieniu pomocy dla mojej matki na zesłaniu, był błąd dziadka Antoniego Fajkowskiego przy podziale majątkiem, gdzie było wielkie niezadowolenie. Dla najstarszego syna Ludwika zapisał dziadek 8 hektarów, a młodszemu dzieciom, tj. ciotce Anieli i wujkowi Bolkowi dał im po 2,5 ha. Mojej mamie i ojcu, dziadek Fajkowski zapisał darowiznę dla zięcia Bolesława i córki Franciszki Niebrzegowskich 15,5 hektarów w obecności dwóch prawowitych świadków: Icka Chalfiego z Brześcia i Tadeusza Sawińskiego z Zakowoli zamieszkałych w powiecie radzyńskim. Powyższy zapis był robiony w obecności notariusza Bolesława Poznańskiego przy Wydziale Hipotecznym Pińskiego Sądu Okręgowego z siedzibą w Brześciu Litewskim przy ulicy 3 Maja 18 w dniu 15 marca 1923 roku. Jako kolonista i uczestnik wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku, ojciec dodatkowo otrzymał na własność od państwa 5 hektarów ziemi, na których nie ma aktu własności. Akt własności małżonków Bolesława i Franciszki Niebrzegowskich był aktem na zupełną własność z prawem wpisu do ksiąg wieczystych, gminnych i wszędzie gdzie zajdzie prawna potrzeba, na jednostronny wniosek tychże nabywców lub jednego z nich. Nabywcy darowizny, zobowiązują się solidarnie wydać córce darczyńcy Genowefie Fajkowskiej po dojściu przez nią do pełnoletności jej osobiście, a w razie jej śmierci sukcesorom jedną parę koni i dwie krowy średniej wartości. Wartość darowizny oraz świadczenia powyższe strony w interesie stempla podają na sumę marek polskich jeden milion.

Największym nieszczęściem a nawet tragedią dla rodziców jest widok umierających własnych dzieci. Zwłaszcza dla matki osamotnionej prawie przez dwa lata, która ratowała te dzieci jak mogła od głodu i chłodu oraz różnych chorób. Jest bezradna, gdy w jej ramionach umiera w odstępie tygodniowym tych dwóch ukochanych synów. Naturalne jest to, gdy umierają ludzie starsi a młodzi zostają, ale gdy odchodzą z tego świata na oczach rodziców dzieci, to nawet najsilniejsze serce matczyne może tego nie wytrzymać. Według mnie, matki samotne z dziećmi a było ich bardzo wiele, które zostały wywiezione na Sybir, zasługują aby ich nazywać prawdziwymi „**Matkami Polkami**”. Umęczone bohaterską walką o ratowanie dzieci od śmierci głodowej, same ginęły i winne zasługiwać na „**Palnę męczeństwa**” i wiele z nich winne być świętymi. Zostały zapomniane nawet przez kościół w modlitwach codziennych odmawianych w intencji „Matek Sybiraczek”. Ich bohaterstwa nie da się porównać nawet z więźniami z łagrów. Do takich właśnie bohaterek „**Matek Sybiraczek**” zalicza się według mnie moja matka Franciszka Niebrzegowska. Bardzo pięknie pisze na dzień matki Związek Sybiraków w USA w 1995 roku - **MATKOM SYBIRACZKOM**³⁸.

Analizując drugiego rodzica, również krótko żyjącego, bo musiał umierać w wieku 47 lat. Był okazem człowieka pracowitego, zaradnego i bardzo przedsiębiorczego, to właśnie był mój ojciec Bolesław Niebrzegowski. Wszystko potrafił zrobić w domu, od prac polowych, obrządkowych w gospodarstwie, a skończywszy na własnoręcznym wybudowaniu domu, zabudowań oraz mebli do mieszkania. Trudno dociekać za co był aresztowany przez okupantów sowieckich. Jedni

³⁸ Związek nasz oddaje hołd Matkom Polkom, które tak dużo przeżyły fizycznie i psychicznie. To One, w wyniku Kłęski Wrześniowej 1939r., cierpiały najwięcej i nie załamały się. Najpierw odczuły utratę naszej ukochanej Ojczyzny, rozdarłej przez Niemcy i Rosję, poległych swych synów w obronie jej wolności. Odczuły wrogość zwycięskich agresorów wschodnich. Aresztowania, wywózki, katorgi ... w gronie wyrzuconych dwu milionów mieszkańców z Kresów Wschodnich na Sybir. Same zmarznęte i głodne, poddane katorgom i pracom ponad siły, otaczały swe dzieci troską, dzieląc się ostatnią kromką chleba. Nie załamywały się psychicznie, ale się modliły i popadły w zwątpienie, dodawały otuchy i nadziei w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości. W tak ciężkich warunkach, one potrafiły przeszczepić swym dzieciom miłość do Polski. A było to rzeczą niełatwą, bo zewsząd wyzierało zło, nienawiść i systematyczne zaprzeczanie prawdy. Brak żywności, odzieży, higieny, lekarstw, prymitywne mieszkania, całodzienna, ciężka praca. Dokuczające wszy i pluskwy i niepewność jutra. Nie myślały o sobie, ale o Polsce Wolnej i o swoim potomstwie, ażeby chociaż im było lepiej. W 55-tą rocznicę pierwszych masowych wywozek z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, wspominamy wasze zacne czyny i heroizm. – „WAM BEZIMIENNE, Nasze Polskie Matki! – To O WAS Sybirackich wspominek notki – (w szczerych, chociaż w niezdarnych ułożone słowach.) – O WAS – kruchych i słabych – a tak mocnych przecież, gdy chodziło o Polskę, Rodzinę i Dzieci. Gdy chodziło o Boga – w rubryce wyznania – nie było u Was słabości – Ni chwil, załamania – TY MATKO SYBIRACZKO – sama stawiałaś przeciwko przemocy!” – Za to, dziś wam nasz Związek Sybiraków w Ameryce dziękuje z całego serca.

Henryk Ścigała – prezes Sybiraków w USA

mówią że był dobrym gospodarzem i z zazdrości został aresztowany a później skazany na łagry. Inni, że pomagał ludziom w przedostawaniu się za rzekę Bug na stronę niemiecką.

Co robił i jak go wyniszczyła praca w łagrze, to prawie nic nie wiem, bo moja siostra w pamiętniku nic nie pisze na ten temat, Nawet w listach taty do mamy, czy też do wujka Bolka, nie ma napisanej prawdy o niewolniczej pracy, bo nie wolno było tego pisać. Taki list, gdzie była napisana prawda, to nigdy nie doszedł do adresata. Ojciec jedynie mógł pisać do rodziny o wsparcie materialne i pieniężne. Myślał nawet początkowo, że mama razem z nami jest w dobrej sytuacji, ale szybko przekonał się, że jesteśmy w dużo gorszej nędzy od niego i nawet prosi rodzinę swojej żony o pomoc dla biednej Frani.

W łagrze cały czas myślał o rodzinie a zwłaszcza, gdy dowiedział się gdzie my się znajdujemy i w jakich warunkach żyjemy. Po wyjściu na wolność w jesieni 1941r. to jego pierwszym pragnieniem było połączenie się z rodziną i uczynił to w listopadzie. Wielka była radość ojca z połączenia się z żoną i dziećmi. Radość ta bardzo krótko trwała, bo zobaczył wychudłe postacie i do tego jeszcze ciężko chore. Przez 8 miesięcy od chwili powrotu na łono rodziny był jedynym, który mógł zapracować na umierającą rodzinę. Wielką tragedią życiową było powolne konanie a następnie śmierć dwóch Jego ukochanych synów, tj. Cześka i Wenka. Kompletnie załamał się po śmierci następnej ukochanej mu osoby, naszej mamy a Jego żony w tak krótkim czasie od śmierci synów. Musiał biedak sam robić dla wszystkich trumny, aby ich pochować na miejscowym cmentarzu w Wardze. Widział również umierające już trzecie dziecko, tj. najstarszą z rodzeństwa córkę i nawet miał od Niej zalecenie w czym ma być pochowana. Pan Bóg jednak chciał inaczej i dał trochę wytchnienia oraz chwilę radości dla mojego taty. Zobaczył jeszcze za życia powolne uzdrawianie córki z bardzo ciężkiej choroby nieznanej nawet tamtejszym lekarzom sowieckim. Radość z powracającej do zdrowia ukochanej córki, była dla ojca bardzo krótka, bo Jego złe samopoczucie usilnie dawało się we znaki. Musiał przerwać pracę i położyć się do łóżka i tak męczył się przez miesiąc. Swoją śmierć przeczuwał, bo w danym dniu nie pozwolił oddalić się córce. Skonał w Jej obecności w samo południe 25 sierpnia 1942r. Bardzo chciał mimo wszystko żyć, bo miał jeszcze dla kogo, zostawiał córkę i syna bez żadnych środków do życia. Zdawał sobie z tego sprawę, bo prawie do końca był przytomny i dopiero na dwie

godziny przed śmiercią stracił świadomość. Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze swojej piętnastoletniej córce dać cenne wskazówki na całe życie i pouczając jak ma żyć i opiekować się młodszym bratem. Prosił córkę, aby po przyjeździe do Polski zwróciła się o pomoc do Jego braci i siostr w Niewęgłoszu. Zapewniał, że oni nas przygarną i nie pozwolą zginąć. Zupełnie inaczej to się stało w przyszłości z tą dla nas pomocą od stryjów, ciotek, wujków i innych z rodziny. Ci co mogli i powinni pomagać, to prawie nas nie dostrzegali a z kolei ci co nic nie posiadali służyli przynajmniej dobrą radą i dużymi chęciami. Jest to temat dość rozległy do rozważania osobnego.

Po śmierci braci Czeška i Wenka w styczniu, mamy w kwietniu i ojca w sierpniu 1942 roku, zostaliśmy we dwoje z siostrą **pełnymi sierotami**. Była duża obawa, że mogą nas wziąć do domu dziecka i dlatego dla pozorów zaopiekowała się nami stryjenka Maria Niebrzegowska, wdowa po stryjkę Władku. Mieszkaliśmy wtedy już razem, ja nadal chodziłem do przedszkola a siostra musiała zapracować na siebie i na mnie. Stryjenka na zesłaniu nigdy nie pracowała, bo czynił to jej mąż, a gdy Jego zabrakło pracowali Jej synowie, tj. Felek i Heniek, którzy mieli w 1942r. 18. i 16. lat. Oczywiście tworzyliśmy dwie różne rodziny. Ja z siostrą często przymieraliśmy głodem, czego nie można było powiedzieć w przypadku stryjenki i Jej chłopaków. Jak wcześniej wspominałem, młodszy syn stryjenki w maju 1943r. wstąpił na ochotnika do organizującej się dywizji im. Tadeusza Kościuszki w wieku 17 lat. Starszy syn Felek był bardziej związany z matką i do niego właśnie szczególnie mocno się przywiązałem tam na zesłaniu.

Jak już wyżej wspominałem zostałem tylko z siostrą, która była starsza ode mnie o 11 lat i ona zastępowała mi rodziców oraz była moim autorytetem. Będąc małym czteroletnim chłopcem łatwiej na pewno mi było rozstać się na zawsze z rodzicami i pogodzić się z nową sytuacją czyli być **sierotą**. Natomiast jeśli chodzi o siostrę, to siłę do pracy oraz chęć do życia na zesłaniu bez rodziców, było za wszelką cenę utrzymanie mnie przy życiu. Dlatego robiła wszystko abym jak najmniej głodował i jak wspominała w końcowej partii pamiętnika, nawet zdobywała jedzenie mocno narażając swoje życie.

Mieszkając na rzekę, szczególnie małe dzieci są narażone na niebezpieczeństwo i tam właśnie nad Północną Dwiną mając dużą swobodę w lecie w 1943r. topiłem się i w ostatniej chwili, gdy już szedłem po raz trzeci na dno, zostałem wyratowany przez kilkunastoletnią Polską dziewczynę, która złapała mnie za włosy i wyciągnęła na brzeg.

W pobliżu nad rzeką był tartak a przy brzegu było dużo drzew splawianych i myśmy właśnie jak to dzieci bez opieki lataliśmy po takich belkach i widocznie noga mi się podwinęła albo miałem za mały skok z belki na belkę i wtedy wpadłem do wody. Jak z tego wynika po raz drugi byłem bardzo blisko śmierci i widocznie Pan Bóg miał inne plany, bo przywrócił mi zdrowie.

W lecie 1943r. również odwiedziła nas w Wardze nasza kuzynka Marysia Glinka, która była od dwóch lat w Rosyjskim Domu Dziecka niedaleko nas w tym samym powiecie. Była to pora zbierania czarnych jagód i pamiętam ją jak była mocno umorusana na twarzy tymi owocami. Marysia myślała, że jedzie w odwiedziny do cioci i wujka Niebrzegowskich a tym czasem zastała tylko **dwoje sierot**. Siostra nawet prosiła kuzynkę, czy nie ma kawałka chleba przypadkiem lub nawet suchej skórki, bo jak widać nawet tego nie mieliśmy w domu. Niestety Marysia też nie miała chleba ze sobą i dlatego musieliśmy wszyscy chwilowo głodować zanim coś się nie skombinowano. Takich dni w tygodniu a nawet miesięcy bez jedzenia było wiele w naszym codziennym życiu, gdy byliśmy **sierotami na zesłaniu**.

Dość katongi i powrót do normalności

Ulżyło nam skazańcom dopiero w lecie 1944r., gdy zostaliśmy uwolnieni z niewoli i być może było to zasługą tych, którzy poszli do organizowanego Wojska Polskiego w ZSRR w Sielcach nad Oką. Oni to wywierali bardzo duży nacisk na dowództwo i mówili, że my tu będziemy walczyć a nasze rodziny żyją w dalszym ciągu w nędzy, poniżeniu i przymierają głodem³⁹.

Poniższe uchwały, dekrety czy też ukazy, spowodowały nasz wyjazd z Wardy. Momentu radości czy też pakowania się do wyjazdu oczywiście nie pamiętam. Jedynie coś niecoś, gdy płynęliśmy już statkiem po Dwinie Północnej i to tylko wtedy, gdy już robiło się ciemno pod koniec dnia. Nawet tego dokładnie nie wiem, czy płynęliśmy w dół rzeki do Archangielska czy też w górę rzeki do Kotłasu. Prawdopodobnie zostaliśmy jednak zgrupowani w Archangielsku. Pełne rodziny udawały się już bezpośrednio do Polski a dzieci sieroty jak to było w naszym przypadku zostaliśmy, ale już pod opieką. Tą pracą opiekuńczą zajmowała się Pani Jadwiga Gross⁴⁰. Gdy już był komplet dzieci i pełna obsada nauczycieli i wychowawców polskich, pojechaliśmy do Szwarychy, w pow. błogorodzkim, w obwodzie gorkowskim. Była to typowa wieś rosyjska o klimacie dosyć ostrym, czyli o gorących latach i bardzo mroźnych zimach. Przyjechaliśmy do Szwarychy pod koniec dnia, gdy słońce już chyliło się ku zachodowi a nawet ogarniały już ciemności. Oczywiście musiano nas przywieść z miejscowej stacji

³⁹ Nastąpiła zmiana polityki stalinowskiej do cywilnej ludności wywiezionej na Sybir w latach 1940 i 1941. Powołano 30 czerwca 1943r. Komitet do Spraw Dzieci Polskich, tzw. Kompoldiet przy Komisariacie Oświaty RFSRR. Utworzono 16 sierpnia 1943r. Urząd do Zaopatrywania Polaków. Następnie Rada Komisarzy Ludowych ZSRR 5 i 11 lipca 1944r., tzw. Oprosobtorg, podjęła uchwały w sprawie przesiedlenia polskich uchodźców, czyli wcześniej deportowanych na Sybir, z północnych rejonów Związku Radzieckiego.

⁴⁰ Jadwiga Gross – wicedyrektorka Polskiego Domu Dziecka w Szwarysze k/Gorek. Po wojnie mieszkała razem z matką w Krakowie przy ulicy Kochanowskiego 18/5. Pracowała w kuratorium dla dzieci i podlegały Jej wszystkie domy dziecka w woj. krakowskim. W 1947r. sprowadziła moją siostrę do Zakopanego i umieściła Ją w Państwowym Domu Młodzieżowym **ROMA** przy ulicy Za Strugiem, przecznica ul. Kościeliskiej. Również za Jej sprawą zostałem przeniesiony z Domu Dziecka w Grażnicach k/Olsztyna do Zakopanego w roku 1948 do Domu Dziecka **ANUSIA** przy ulicy Grunwaldzkiej i tam przebywałem od marca do grudnia 1948 roku. Przez następne 4 miesiące, również za sprawą Pani Jadzi Gross przebywałem na leczeniu moich płuc w prewentorium w Szczyrku k/Bielska-Białej. W kwietniu 1949r. zostałem z powrotem sprowadzony do Zakopanego, ale do Domu Dziecka w Jaszczurówce, którego prowadziły siostry Urszulanki. Pani Jadzia Gross dostała po rodzinie spadek i wybudowała sobie willę w Zakopanem na Krzeptówkach, do której przeprowadziła się razem z matką w 1952r. Jej pokój przy ul. Kochanowskiego 18/5 w Krakowie za Jej sprawą został przydzielony przez kwaterek mojej siostrze. Panią Jadzię odwiedziłem w sierpniu 1959r., gdy pracowałem w Nowym Targu. Następnym razem byliśmy w odwiedzinach w 1975r. z moją żoną i córką Kingą oraz z siostrą Genią z Jej córką. W roku 1976 umarła Pani Jadzia w wieku 70 lat na raka. Swoją willę wcześniej zapisała siostrze zakonnej, które opiekowały się Panią Jadzię do Jej śmierci.

do naszego domu kilkunastoma furmankami. Miejscowość ta była oddalona od miasta wojewódzkiego Gorki o 40 km a od Moskwy o 400 km i zawsze mówiło się, że jesteśmy pod Moskwą. Mieliliśmy do dyspozycji dwa domy, w tym jeden główny piętrowy murowany przy ulicy Polskich Dzieci, a drugi to letni barak. Na wiosnę i w lecie mieszkaliśmy w tych dwóch domach, ale w zimie przenosiliśmy się wszyscy do murowanego, aby nam było cieplej. Za miesiąc czy też dwa, któregoś dnia w jesieni na stałe przyjechała do naszego Domu Dziecka moja kuzynka Marysia Glinkówna z innego Domu Dziecka pod Moskwą, tam wszystkie dzieci zostały przeniesione z obwodu archangielskiego. Będąc tam od wiosny 1944r. dowiedziała się, że ja i moja siostra również znajdujemy się w innym miejscu i to w Polskim Domu Dziecka k/Gorek. Bardzo pragnęła połączyć się z nami i usilnie prosiła swoją dyrektorkę o wystaranie się, aby mogła być przeniesiona do swoich kuzynów w Polskim Domu Dziecka w Szwarysze w powiecie błogorockim. Miała duże trudności z adaptacją wśród dzieci polskich, bo już prawie nic nie mówiła po polsku, dlatego musiała zaczynać naukę od IV klasy. Dobrze się stało, że za nią przyjechała do Szwarychy, już od wiosny uczyła się j. polskiego i za pół roku zrobiła 3 klasy, tj. I, II i III. Ja też miałem duże trudności w poprawnej mowie polskiej, bo wcześniej chodziłem przez 2 lata do Rosyjskiego Przedszkola w Wardze. Zanim zacząłem chodzić do szkoły, to jeszcze przez rok uczyłem się poprawnej mowy polskiej. Mając jednak 7 lat w terminie rozpocząłem naukę we wrześniu 1945r. w Polskiej Szkole w Szwarysze a skończyłem w Świdrze k/Warszawy. Do szkoły chodziliśmy miejscowej, w której wydzielono pomieszczenia dla dzieci polskich uczących się po polsku przez nauczycieli polskich. Kierownikiem polskiej placówki była Pani Jadwiga Gross a nad całością dyrektorem była Rosjanka p. Nella pochodzenia żydowskiego. Nie pamiętam momentu przyjazdu naszej kuzynki Marysi do Szwarychy, ale wiem jedno, że będąc we troje pewnie czuliśmy się jako prawie rodzeństwo. Jak kiedyś rozłączyliśmy się jako dzieci, tak teraz nastąpiło po paru latach złączenie. Niewiadomo jakby to było, gdyby Marysia nie wiedziała o nas? Pewnie zapomniała by, że kiedyś była Polką i na zawsze zostałaby w ZSRR a może innym transportem by wróciła do Polski. Nasz Dom Dziecka w Szwarysze przy ulicy Polskich Dzieci był wtedy naszym terytorium polskim, byliśmy wielką jedną rodziną. Mogliśmy już swobodnie obchodzić każde święta po katolicku oraz modlić się wspólnie rano i wieczorem. Były z nami również i dzieci żydowskie, które wspólnie razem z nami modliły się do tego samego Boga.

Podobnie jak i my, były również inne rodzeństwa a nawet trzy siostry, czy też 3 braci. Były też matki z dziećmi. Oczywiście matka wtedy była nauczycielką albo wychowawczynią. Siostra moja była pomocą wychowawczyni w najmłodszej grupie a ja Jej wychowankiem. Drugą była Marcelina, która również miała brata u maluchów i 4 siostry w średniej grupie.

Właśnie w zimie 1944/45 bardzo mocno odmroziłem sobie obie dłonie, miałem wielką jedną ropiejącą ranę do kości na jednej i drugiej ręce. Musiałem mieć obandażowane obie dłonie i przez dwa miesiące musiano mnie karmić jak niemowlaka. Najwięcej cierpiałem przy zmianie opatrunku, bo wszystko było przyschnięte i trzeba było przez siłę odrywać. Mrozy wtedy były bardzo duże i dochodziły do -50⁰C. Nawet jak się splunęło, to na ziemię spadał już sople lodu. Miejscowa ludność raczej nas z chęcią przyjęła i traktowani byliśmy z dużą sympatią i troskliwością. Był nawet taki kawaler 18-tek, któremu moja siostra bardzo się podobała i darzył Ją wielką sympatią. Życzliwość i dobroć okazywał dla mnie z racji, że byłem bratem Geni. Doznawałem szczególnej opieki z Jego strony. Często chodziłem do jego domu i byłem tam bardzo lubiany przez Jego rodzinę. W zimie często brał mnie na narty i sanki, bo wieś Szwarecha to teren pofałdowany i były dobre warunki do uprawiania sportów zimowych.

Będąc już w Domu Dziecka w Szwareysze koniecznością a nawet obowiązkiem było posiadanie metryki urodzenia. Sowieci wreszcie opamiętali się i zrozumieli, że dzieci polskie, to też ludzie a nie towar, którzy w przyszłości mogą wrócić do Polski, albo też starać się być prawomocnymi obywatelami ZSRR. Żeby mieć pewność, że będziemy razem i nie rozdzieli nas, zrodziła się myśl u siostry a prawdopodobnie za poradą Pani Jadzi Gross, aby przy wyrabianiu metryki, odmłodzić się o trzy lata. Tak trzeba było zrobić, bo siostra w 1944r. w lecie miała 17,5 lat i jako dorosła nie mogła być w domu dziecka. Obowiązywał wtedy nakaz pracy od 16 lat i musiałaby się ze mną rozłączyć. Taka koncepcja w ogóle nie mieściła się w Jej głowie. Po ocaleniu od śmierci głodowej, za bardzo była siostra przywiązana do mnie uczuciowo, prawie miłością matczyną i nie mogła sobie pozwolić aby nas rozdzielono, tracąc w ten sposób kontrolę nad małym braciszkiem. Dlatego też podała dane do metryki urodzenia jak Jej pasowało, tj. urodzona 28 grudnia 1929r., a nie jak brzmiała prawdziwa data urodzenia 21 stycznia 1927r. Została odmłodzona o prawie 3 lata i zamiast mieć 17,5 lat miała

dopiero 14,5. Wtedy miała prawo przebywać w domu dziecka, gdzie trochę się uczyła i trochę pracowała pełniąc funkcję pomocy wychowawczyni w grupie najmłodszej. Jeśli chodzi o mnie, zostałem odmłodzony tylko o 10 miesięcy w tym samym roku, a mianowicie: Prawdziwa moja data to 19 stycznia 1938r., a w metryce mam napisane, że jestem urodzony 19 października 1938r. W czasie wojny u sowietów był wielki bałagan i wszystko można było podawać na oko. Metryki były sporządzane w pobliskim powiatowym mieście Błogorodzk k/Gorek w tamtejszym komisariacie NKWD w j. rosyjskim. Metryk urodzenia oryginalnych ze sobą nie mieliśmy, bo nie zostały zabrane przez mamę. Przechowywał je w wielkiej tajemnicy u siebie w kuferku brat mamy wujek Bolek. Jak się odnalazły oryginalne metryki po śmierci wujka Bolka w 1962r., to były one już wtedy nam niepotrzebne i są zachowane jako pamiątki rodzinne.

Jakie było nasze życie w nowym miejscu przez niecałe 2 lata? Bez porównania jeśli chodzi o klimat, opiekę lekarską oraz o warunki mieszkaniowo-bytowe. Klimat był w nowym miejscu zupełnie inny niż na północy. Zimy były mroźne i śnieżne, ale nie trwały 9 miesięcy a najwyżej cztery. Wiosna zaczynała się w marcu i trwała do maja a następnie następowało gorące lato, po którym przychodziła jesień trwająca do listopada. W lecie nie było komarów i swobodnie można było chodzić rozebrany bez obawy pokąsania. Na północy w okolicach Morza Białego, to tereny bagienno-moczarowe, gdzie była wieczna zmarzlina. W lecie odmarzało do 40 cm, gdzie urzędowały całe roje komarów i zawsze całe moje ciało było pokryte bąblami. Pracować czy też zbierać jagody w lesie o tak dużej ilości komarów było prawie niemożliwe. Zimy w nowym miejscu były bardzo mroźne, ale nie było za to tak dużych śniegów i zawiei śnieżnych. Lepiej znosiliśmy zimno, bo byliśmy w miarę syści. Jeśli chodzi o opiekę lekarską, to przede wszystkim jak organizm jest syty i nie odczuwa głodu, inaczej reaguje na choroby. Każde przeziębienie czy też inne choroby łatwiej wtedy zwalcza. Wprawdzie lekarza nasz Dom Dziecka nie miał, ale był on dostępny na każde wezwanie.

Najważniejszą jednak różnicą jaką odczuwaliśmy, to warunki mieszkaniowo-bytowe. Domy a w nich pomieszczenia sypialniane, łazienkowe i kuchenne były ciepłe, przewiewne i bez wszy i pluskiew. Każde dziecko czy też osoba dorosła miała swoje łóżko z bielizną pościelową, kołdrą i poduszką. Porównując do warunków sybirskich to

można wymienić najwyżej przeciwieństwa, których w Warnie nie mieliśmy, tj. baraki zimne, brudne, zapluskwione, zawszystowane bez łazienek i ustępów. Spaliśmy na zesłaniu na gołych deskach a okryciem naszym były łachmany. Porównując te warunki na zesłaniu do względnie normalnych w Szwarysze, to można powiedzieć, że są to w zasadzie skrajne odpowiedniki. Do warunków bytowych zaliczyć można również odzież jaką używaliśmy w lecie czy też w zimie. W Szwarysze mieliśmy przede wszystkim w zimie ciepłe czapki, kożuchy i walonki na nogi oraz ciepłą bieliznę. Na Sybirze takich rarytasów nie było, bo tam człowiek był niczym i mógł jedynie umrzeć z zimna i głodu.

Najważniejszym w życiu człowieka jest pożywienie. Jest pewne, że jedzenia nigdy nie zbywało, jak również było nie do pomyślenia, aby coś się marnowało. Nie słyszałem od siostry, czy też od kuzynki, ani sam nie przypominam, abyśmy w Domu Dziecka w Szwarysze byli głodni. Posiłki były 3x dziennie. Na Sybirze naszym głównym pokarmem był chleb z czarną kawą 2x dziennie. Były dni, że jadło się nawet raz dziennie a nawet co drugi i trzeci dzień. Dlatego my dzieci i dorośli w Domu Dziecka w Szwarysze nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie nawet okruszki chleba.

W lecie przy nawale prac polowych, młodzież starsza i średnia z naszego Domu Dziecka czynnie włączała się, aby ulżyć miejscowym kolchozom i sowchozom. Również młodzież zbierała jagody, grzyby, aby zrobić zapasy na zimę. Były również robione w lecie 1945r. zdjęcia poszczególnych grup przy naszym murowanym domu i każde dziecko taką pamiątkę otrzymało. Dużo osób dorosłych, młodzież i dzieci robiło sobie również zdjęcia indywidualne do połowy i inne, a następnie wymieniano między sobą dla zachowania na wieczną pamiątkę. Siostra miała dosyć dużo takich pamiątkowych zdjęć swoich koleżanek, które podpisywały je przed wyjazdem ze Szwarychy do Polski. Czynili to nauczyciele jak i wychowawcy między sobą i młodzieżą. Nasza nauczycielka a jednocześnie kierowniczką Szkoły Polskiej w Szwarysze Pani Jadzia Gross, takich właśnie zdjęć ze swoją podobizną dużo rozdała i oczywiście moja siostra też ofiarowała innym. Ja też miałem tam zrobione w tym czasie zdjęcie do połowy i tam w Szwarysze raczej nikomu nie były dane. Byłem mały, aby pamiętać wszystko co działo się w Domu Dziecka. Pamięcią sięgam tylko niektórych wyrywkowych fragmentów naszego tam pobytu, których praktycznie

w całość jest trudno złączyć. Mogła to zrobić moja siostra, która była przecież ode mnie starsza o 11. lat. Dlaczego nie opisała naszego pobytu w Szwarysze? Myślę, że nie było czym się chwalić i zabronione było mówić głośno o pobycie w Rosji. Być może uczyniła by to teraz, ale jak wcześniej wspominałem, nie żyje już od 1979 roku. Kuzynka również dużo pamięta, ale Jej z kolei trudno zabrać się do napisania wspomnień, a na pewno byłyby bardzo ciekawe z czterech Jej miejsc pobytu na obcej ziemi⁴¹.

⁴¹ Warda n/Dwiną Północną w obwodzie archangielskim, w powiecie chołmogorskim od marca 1940r. do lata 1941r.; pobyt w Rosyjskim Domu Dziecka w powiecie chołmogorskim, po śmierci trzech starszych sióstr od lata 1941r. do marca 1944r.; Dom Dziecka pod Moskwą od wiosny 1944r. do jesieni 1944r. i Polski Dom Dziecka w Szwarysze od jesieni 1944r. do marca 1946 roku.

Powrót do Polski

Kończy się pobyt w Szwarysze, który był ostatnim etapem naszego zesłania w 1940r. Marzenia nasze o powrocie do Polski spełniły się, a nastąpiło to wczesną wiosną w połowie marca 1946r. W styczniu czy też w lutym leżąc poważnie chory dowiedziałem się, że mamy wracać do kraju. Była to chwila dla mnie bardzo radosna ale jednocześnie i przykra, bo żeby wyjechać musiałem wyzdrowieć. Dużo płakałem z tego powodu myśląc, że wszyscy pojedą a ja zostanę, bo jak się później dowiedziałem, tak mnie straszono. Ja z natury jako chłopiec, może i teraz mi to zostało, byłem bardzo bojaźliwy i lękliwy. Tłumaczę to tym, że dużo widziałem a przede wszystkim byłem świadkiem śmierci dwóch moich starszych braci moich rodziców w odstępie sześciu miesięcy, mając w tym czasie 4 lata. Następnym powodem to obawa o ciągły głód, czy będzie co jeść w następnym dniu, itd. Mój obraz z lat dzieciństwa przypomina mi mój syn Marcin, który wzrastał na moich oczach i zawsze brałem Go w obronę, tak jakbym siebie bronił. Jednak w sytuacjach odmiennych raczej byłem odważny i nie czułem strachu.

Marzenia dla mnie o powrocie do Polski spełniły się, bo za parę tygodni wyzdrowiałem i mogłem już cieszyć się w pełni ze wszystkimi wychowankami. Miejscowa ludność była do nas już przyzwyczajona i bardzo serdecznie żegnali a nawet było dużo płaczu z ich strony. Żał im było, że jedziemy na lepsze i do swoich, bo oni musieli zostać i żyć w nędzy i niepewności każdego dnia. Był to przecież okres powojenny i nadal trwały represje stalinowskie. Zupełnie w odmiennych warunkach wracaliśmy z zesłania. Były podstawione wagony towarowe specjalnie przystosowane do przewozu ludzi a zwłaszcza dzieci. Zrobione były specjalne półki tzw. nary, które tworzyły dwa poziomy z jednej i drugiej strony wagonu. Na górze było spanie a na dole zapasy żywnościowe i nasze odzienie. Środek wagonu był bez zabudowy i służył dla swobodnego poruszania się oraz do zabawy. W moim wagonie z jednej strony były dzieci a z drugiej panie nauczycielki i wychowawczynie ze starszymi dziewczynami. O ile pamiętam, to podróż nasza była bardzo wesoła. Było dużo śpiewania, grania na patefonie oraz były różne gry i zabawy. Nasza podróż trwała 4 tygodnie, bo były długie postoje, gdzie trzeba było czekać 2 albo 3 dni na bocznych torach. Pamiętam jak jechaliśmy przez Moskwę oraz przejażdżkę statkiem po rzece. Widocznie w Moskwie był dłuższy postój i wtedy mogliśmy zwiedzać miasto. Oczywiście jak były postoje, to

staliśmy na bocznych torach i wtedy można było swobodnie wyjść i przyjść z powrotem. Te dłuższe postoje miały na celu, aby zaopatrzyć się w prowiant na parę dni a nawet na tydzień. Również utkwiła mi w pamięci kąpiel pod prysznicami w łaźni miejskiej w jakimś mieście w czasie postoju. Wtedy trzeba było się spieszyć, bo było mało czasu. W jednej części łaźni byli mężczyźni i młodzież męska a w drugiej kobiety z dziećmi. Ja oczywiście byłem razem z kobietami. Zobaczyłem tyle nagich młodych i starszych ciał kobiecych, że aż mnie zatkało i ten widok utkwił mi na zawsze w pamięci.

Trasa naszego powrotu do Polski wiodła przez: Gorki, Moskwę, Kijów, Lwów, Kraków, Oświęcim do Gostynina. Więcej szczegółów z podróży nie pamiętam, bo przez małe okienka niewiele można było widzieć a tym bardziej obserwować trasę powrotu. Do Gostynina⁴² przyjechaliśmy 13 IV 1946r. po czterotygodniowej podróży i po sześcioletniej tułaczce na obcej ziemi. Wywieziono nas, łącznie z kuzynkami 10. osób w 1940r. a powróciło w 1946r. zaledwie troje. Była wtedy jak pamiętam: piękna, słoneczna i upalna pogoda. Umieszczono nas po domach opieki i szpitalach, abyśmy przeszli tzw. okres kwarantanny. Miasto to było zbiorczym punktem dla repatriantów **sierot** i ich opiekunów powracających ze wschodu. Był to prawdopodobnie jeden z ostatnich transportów polskich dzieci ze wschodu i ich opiekunów.

Ważne jeszcze jest jedno szczególne wydarzenie z Gostynina, którego ja oczywiście nie pamiętam, ale mówiła mi o tym moja siostra. Ludzie dorośli, którzy spowiadali się po tak długiej przerwie będąc na zesłaniu, gdzie nie widzieli ani księdza ani kościoła przez parę lat, starali się na spowiedzi szczegółowo wyznawać swoje grzechy. Głównym w ich pojęciu przewinieniem był grzech VII przykazania **nie kradnij**. Musieli wtedy to czynić zesłańcy, bo kradzież dawała im szansę na przetrwanie, aby nie umrzeć z głodu. Podobno ksiądz spowiadający wyszedł z konfesjonału, bo już nie mógł wytrzymać i z ambony wygłosił do wszystkich Sybiraków kazanie na temat przykazania VII **nie kradnij**. Poruszył zagadnienie kradzieży żywności, tj. chleba, ziemniaków zgniłych, zboża i innych produktów, czegoś co było koniecznością. W wielkim zdenerwowaniu i podnieceniu oświadczył ludziom, którzy powrócili z zesłania, **że nie mogą się poczuwać do grzechu jak musieli kraść**

⁴² Gostynin to miasto powiatowe w woj. warszawskim. Wszystkie transporty z dziećmi ze wschodu, tam trafiały. Tam przyjeżdżały dalsze rodziny, aby odebrać **sieroty**. Natomiast dzieci bez żadnej rodziny były umieszczane po różnych domach dziecka na terenie całej Polski.

jedzenie, aby móc przetrwać i nie umrzeć z głodu. Dopiero wtedy zrozumieli i przy spowiedzi kładli nacisk na wyznanie innych przewinień.

Przyjechała po nas troje do Gostynina nasza ciocia Genowefa Fajkowska i 18 kwietnia zabrała nas do swojej siedziby w klasztorze do Warszawy przy ul. Marymonckiej. Widocznie moja siostra musiała napisać wcześniej do cioci ze Szwarychy. Wiem, że pisała z Domu Dziecka 25 września 1945r. do wujka Bolka Fajkowskiego, bo zachowała się mała kopertka z adresem nadawcy i odbiorcy z pieczęcią poczty, gdzieś k/Szwarychy w obw. Gorkowskim. Na pewno było więcej pisanych takich listów mojej siostry ze Szwarychy do rodziny, ale jak dotąd nie odnalazły się i widocznie przepadły a szkoda takich pamiątek. Były to dowody a jednocześnie dodatkowa informacja opisowa, jak nam się powodziło i żyło w tej końcowej fazie zesłania na obcej ziemi.

Kończąc moje wspomnienia, w których zamieściłem odpisy listów mojej mamy, kuzynek i mojej siostry oraz Jej pamiętnik w trzech częściach. Zostało mi jeszcze napisać krótką analizę życia moich braci i dłuższą przedostatniego członka rodziny, tj. mojej siostry Genowefy Niebrzegowskiej, która nagle odeszła ze świata w 1979r. Zakończyć natomiast chcę moje wspomnienia sybirskie, mocnym zaakcentowaniem skutków jakie musieliśmy z siostrą ponosić w późniejszym życiu, w związku z brakiem rodziców będąc **sierotami**.

Analiza bardzo krótkiego życia moich braci Cześka i Wenka powinna być w zasadzie zamieszczona zaraz po ich śmierci. Początkowo wydawało mi się, że nie trzeba tego pisać, bo ich nie pamiętałem. Jednak po przemyśleniu za i przeciw zdecydowałem się, aby ich krótkie życie upamiętnić w tym wspomnieniu. Oczywiście ich nie mogłem pamiętać i mogłem tylko wyobrazić sobie ich życie z opisów w listach mojej mamy.

Najstarszy brat Czesiek, był ode mnie o 6,5 lat starszy a średni Wenek starszy o 4 lata. Pierwsze lata ich dzieciństwa były dosyć udane w otoczeniu swoich rówieśników z rodziny jak również innych kolegów z klasy. Czesiek zaczął chodzić do I klasy w 1938r. i skończył ją w 1939r., a drugi brat Wenek był jeszcze za młody na naukę. Myślę, że ta sielanka rodzinna trwała by długo, gdyby nie wybuch II wojny światowej a w konsekwencji okupacja naszych wschodnich ziem przez wojska

sowieckie i NKWD. Bracia z rodzicami i pozostałym rodzeństwem zostali deportowani na Sybir w dniu 10 lutego 1940r. Mieli w tym czasie po 8,5 oraz 6 lat. Ich dzieciństwo zostało w brutalny sposób podeptane, aby za dwa lata całkowicie je wdeptać do ziemi. Zamiast korzystać z rozkoszy i radości jaką jest wolność i dostatek, byli tego pozbawieni i w zamian odczuwali na co dzień głód oraz nędzę. Byli obserwatorami mojej niedoszłej agonii w czasie podróży a następnie wspólnie cieszyli się, gdy mały Tadzio przetrwał kryzys choroby i dochodził pomału do zdrowia i sił. Braci też nie omijały choroby na zesłaniu, bo już w parę miesięcy po przyjeździe na miejsce zesłania do Wardy, wpadł Wenek do wody i po paru dniach wywiązało się ciężkie zapalenie płuc. Jeszcze organizm był na tyle silny i mógł zwalczyć chorobę mimo panującego głodu. Cześka również choroby nie omijały i mimo, że był starszy od brata, to na skutek braku podstawowych produktów żywnościowych oraz witamin, Jego organizm był podatny na różne dolegliwości. Mogę tylko sobie wyobrazić jak musieli cierpieć bracia i ja razem z nimi, gdy ich żołądki upominały się o jedzenie a nie było co dać. Przecież to wiek, w którym organizm najwięcej potrzebuje, aby normalnie funkcjonować. Pewnie chłopaki mocno tęsknili za ojcem, bo taty nie było prawie przez dwa lata, a gdy wrócił to już leżeli biedaki chorzy, aby za dwa miesiące umrzeć. Chcieli bardzo żyć, ale na skutek ciężkiej niewolniczej pracy zastępując chorą mamę - przeziębili się - bo musieli pracować stojąc w lodowatej wodzie. Męczyli się obaj i wydawało się, że im to zapalenie powinno przejść, ale było to tylko złudzenie. Przy dzisiejszej medycynie, takie przypadki zapaleń płuc są do wyratowania poprzez aplikowanie antybiotyków i innych leków. Przeszli przez najgorsze, głodując przez prawie dwa lata w czasie nieobecności ojca, a gdy wrócił nie mogli biedacy nim dobrze się nacieszyć. Rodzina była w całości prawie przez dwa miesiące i początkowo wydawało się, że najgorsze minęło a to dopiero się zaczęło. Rodzina rozpadła się przez śmierć braci a później za parę miesięcy nastąpiła śmierć matki i ojca.

Czesiek był bardzo podobny do mnie a dowodem tego jest zapamiętany jego wygląd przez mego kuzyna Zenka Mazurkiewicza. Po spotkaniu się z kuzynem po 36 latach w 1987r., to Jego pierwsze słowa **Jak się masz Cześku**, dopiero Jego brat starszy Olek wytłumaczył młodszemu, że ja jestem Tadeuszem najmłodszym bratem Cześka. Mój brat był niewiele młodszym od kuzyna Olka Mazurkiewicza i niewiele starszym od Jego brata Zenka. Mieszkaliśmy obok siebie w Siechieniewszczyźnie i tych trzech chłopców widocznie dużo poświęcało sobie czasu za zabawę ze sobą. Drugim

a jednocześnie i trzecim dowodem na duże podobieństwo moje do Cześka, jest rozpoznanie na zdjęciu zbiorowym chłopaka ośmioletniego prze moją córkę Kingę i syna Marcina jako ich ojca. Musiałem wytłumaczyć im, że jest to zdjęcie grupowe sprzed II wojny światowej, tj. w roku 1938 lub 1939, gdzie jest utrwalony mój brat Czesiek urodzony w 1931r. i wtedy miał 7 lub 8 lat. Biorąc moje zdjęcie ze Szwarychy, gdzie miałem 7,5 lat i Cześka podobiznę z grupowego zdjęcia, to rzeczywiście trudno odróżnić kto jest kim. Wenka na zdjęciach niestety nigdzie nie ma, bo jeszcze wtedy przed II wojną światową nie chodził do szkoły i nie miał kto utrwalić Jego podobizny. Prawdopodobnie jak twierdzi moja kuzynka Marysia Szymańska z d. Glinka, że jest Wenek na zdjęciu grupowym w Siechieniewszczyźnie obok naszej siostry Geni z okazji prymicji naszego wujka Cześka Fajkowskiego w lipcu 1939r.

Sieroctwo

Po analizie życia mamy, taty o raz braci, wypada to uczynić z moją siostrą, która oprócz życia na zesłaniu prze 6 lat razem ze mną, miała jeszcze bardzo duży wpływ na mnie w latach powojennych i dalszych. Życie mojej siostry Geni według mojej opinii, to jedno pasmo udręk, ciągłych wyrzeczeń, walki o byt na zesłaniu, ponieważ, rozgoryczeń oraz niepowodzeń. Jedynie okres dzieciństwa od urodzenia do trzynastego roku życia było pewnie Jej radością. Była pierwszym żyjącym dzieckiem w mojej rodzinie, pełnej energii w dzieciństwie oraz dużej pomysłowości. Żyła na wsi wśród swoich koleżanek i kolegów, jak też wśród wielu starszych i młodszych kuzynów. Z kuzynek, które były Jej rówieśniczkami, to: Teresa Mazurkiewicz ur. W 1928r., Henia Fajkowska ur. W 1929, Marcysia Fajkowska ur. W 1922r. i Janina Fajkowska ur. 1924r. Natomiast kuzyni rówieśnicy, to: Józek i Aleksander Mazurkiewicz, urodzeni w 1926 i 1930. Rówieśnikiem był Rysiek Fajkowski ur. w 1926r., Heniek Niebrzegowski ur. 1926r., Felek Niebrzegowski ur. 1924r.. Adolek Mazurkiewicz ur. w 1922r. Siostra była bardzo wesołym dzieckiem a gdy zaczęła chodzić do szkoły, wiodła prym wśród kolegów i koleżanek w klasie. Aby dorównywać sprawności kolegów, wychodziła razem z nimi nawet na drzewa, jak też czyniła dużo innych figli. Wszystkie te zabawy skończyły się z chwilą wywiezienia nas na Sybir. Właśnie wtedy ta zła passa się zaczęła, gdy wywożono nas w nieznane 10 lutego 1940r. Miała wtedy równe 13 lat. Była wcześniej świadkiem aresztowania ojca przez NKWD i przez prawie dwa lata bardzo tęskniła za nim. Musiała mamie pomagać w pakowaniu się w tą straszną mroźną noc lutową i jako członek rodziny musiała uczestniczyć w deportacji. W czasie dwutygodniowej podróży w towarowym wagonie była świadkiem mojej agonii a później nagłego cudownego, powolnego uzdrawiania. Siostra była prawą ręką mamy w zdobywaniu pożywienia dla swoich trzech młodszych braciszków. Mimo, że była najstarszą z rodzeństwa, to choroby ją też nie omijały na Sybirze, ale wtedy właśnie starała się walczyć, nie kładąc się do łóżka i może dlatego przetrwała te okropne lata na zesłaniu. Była świadkiem początkowo powolnej agonii a później nagłej śmierci braci Czeška i Wenka w styczniu 1942r. oraz śmierci męczeńskiej z głodu naszej mamy 16 kwietnia 1942r. Była w tym czasie bardzo ciężko chora i nawet nie pamiętała ostatnich słów mamy przed skonaniem, bo sama była nieprzytomna cierpiąc na nieznaną chorobę. Również nagle jak ja, cudownie za sprawą Bożą powoli,

systematycznie zaczęła przychodzić do zdrowia. Została cudownie uzdrowiona ze stanu beznadziejnego, aby żyć dla mnie, bo za parę miesięcy od śmierci mamy znowu musiała być świadkiem w sierpniu następnej tragedii rodzinnej, tj. śmierci naszego ojca. Zamykała osobiście Jemu oczy, tak bardzo kochanego i wtedy miała 15,5 lat. Nagle spadły na młodą dziewczynę obowiązki rodzicielskie, musiała jeszcze mnie utrzymać przy życiu. Czy to nie gorsze od pobytu w łagrze, gdzie więzień-niewolnik myślał tylko o sobie, aby przetrwać. Wiele młodych organizmów nie wytrzymuje takiego obciążenia psychicznego i fizycznego, a siostra jednak wykazała dojrzałość opiekuńczą już dorosłej osoby. Broniąc się przed wysyłką mnie do Domu Dziecka, prosiła naszą stryjenkę, wdowę Marię Niebrzegowską o częściową opiekę nade mną, bo sama musiała pracować, aby utrzymać przy życiu siebie i mnie. Bała się panicznie rozstania ze mną, bo zdawała sobie sprawę, że będąc sama nie wytrzymałaby już tego przygnębienia i samotności a tak miała dla kogo żyć. Były chwile grozy i wątplenia, ale Pan Bóg widocznie czuwał nad nami i nie pozwolił nam zginąć. Bardzo siostrę uspokoiło to, gdy mogliśmy razem być w Polskim Domu Dziecka w Szwarysze k/Gorek od lata 1944r. do chwili wyjazdu do Polski w połowie marca 1946r.

Po wojnie, gdy wróciliśmy do Polski 13 kwietnia 1946r.⁴³ też był okresem bardzo wyczerpującym dla panienki dziewiętnastoletniej. Duże napięcie, strach, podejrzliwość do wszystkiego, moje choroby w wieku szkolnym - pozostałości po Sybirze - też Ją bardzo niepokoiły. Liceum Zawodowe, później praca, brak własnego kąta, bardzo małe zarobki, brak pomocy ze strony rodziny, mój bardzo wątły stan zdrowia, wszystko to się do tego przyczyniło, że siostra była bardzo nerwowa i żyła w ciągłym napięciu. Prawdą było to, że po powrocie do Polski już siostra moja nie musiała tak bardzo troszczyć się o mnie, bo już byłem oddany do Domu Dziecka. Jak byłem w Świdrze k/Warszawy a siostra w Warszawie, to taki układ bardzo Jej odpowiadał. Po wakacjach w 1946r., gdy nasz Dom Dziecka ze Świdra przenieśli do Grażnic w woj. olsztyńskim a siostra od 1947r. była w Młodzieżowym Domu w Zakopanem to wtedy była bardzo niespokojna. Robiła wszystko aby mnie sprowadzić do Zakopanego i udało się Jej. W następnych latach, gdy już siostra pracowała

⁴³ ARCHIWUM AKT NOWYCH, al. Niepodległości 162 – 02-554 Warszawa. Archiwum Akt Nowych zaświadcza na podstawie akt Ministerstwa Oświaty (sygn. 3600), że Genowefa Niebrzegowska, c. Bolesława, ur. w 1929r. i Tadeusz Niebrzegowski, s. Bolesława, ur. w 1938r. przybyli 13 kwietnia 1946r. z Domu Dziecka w Szwarysze (ZSRR) do Domu Rozdzielczego w Gostyninie, skąd 18 kwietnia 1946r. wyjechali do ciotki p. Genowefy Fajkowskiej zamieszkałej w Warszawie, ul. Marymoncka. Kierownik Oddziału V – doc. dr hab. Edward Kołodziej. Warszawa, dnia 19 VII 1990r.

w Krakowie a ja nadal byłem w Domu Dziecka u sióstr Urszulanek w Zakopanem, wtedy była spokojna, bo na każde święta i wakacje przyjeżdżałem do Niej a później wyjeżdżaliśmy do rodziny w Polskę. Taka pełna opiekuńczość trwała do 21 lat, tj. do chwili ukończenia szkoły średniej przeze mnie a później już trochę byłem swobodniejszy. Nawet nasz wujek ks. Czesław Fajkowski tłumaczył często mojej siostrze, aby zbytnio mną się tak nie przejmowała, gdy miałem już dwadzieścia parę lat.

Aby coś umieć, zdobyć i mieć, to dużo pracowała siostra w Zakładzie dla Dzieci Głuchych, a jednocześnie uczyła się zaocznie w Liceum Pedagogicznym. Później również kontynuowała studia nauczycielskie. Ciągłe ataki woreczka żółciowego powstałe na skutek zatrucia i wyczerpania fizycznego oraz psychicznego organizmu w czasie pobytu i walki o byt na Sybirze. Wreszcie Jej późne nie udane małżeństwo, ciąża w osamotnieniu, ciężki poród a następnie rozwód, to wszystko było jedną męczarnią i przygnębieniem. Nastąpił u siostry nowy okres - nowego życia dla kogoś - to dla swego dziecka. Przed laty, tam na dalekim zesłaniu na nieludzkiej ziemi, gdy byliśmy z siostrą już **sierotami**, wtedy to żyła dla mnie, aby mnie ocalić od śmierci głodowej. W następnych latach zajęła to po mnie miejsce Jej córka Urszula. Była nadal ciężka sytuacja materialna, mieszkaniowa, która dodatkowo pochłaniała Jej niepokój. Aby siostrze ulżyć w powyższych kłopotach, przenieśliśmy się z Olsztyńskiego, do pracy w Krakowie i będąc razem już wspólnie prowadziliśmy dom a tym samym miałem duży wpływ na wychowanie Jej córki. Dostała wreszcie siostra mieszkanie spółdzielcze, ale za to nasiliły się ataki woreczka żółciowego i w ostatniej chwili uszła śmierci operując się na wiosnę 1969r., bo już wystąpiła gangrena.

Ostatnie dziesięciolecie było dla mojej siostry dosyć udane. Nadal dużo uczyła się a jednocześnie samodzielnie wychowywała córkę, bo ja założyłem swoją rodzinę. W tym okresie Jej poziom intelektualny znacznie się podniósł. Jak również i materialnie siostrze było lepiej. Zależało Jej na tym, bo w ten sposób mogła zaimponować dalszej rodzinie, która ciągle uważała nas jako tzw. **ubogich krewnych**. Była siostra zdolna, pracowita w swoim nauczycielskim zawodzie, zaradna oraz bardzo inteligentna. Żyła dla córki i starała się włożyć maksimum wysiłku w Jej wychowanie. Nie wszystko jednak udało się Jej osiągnąć, bo nie przeczuwając niczego wyszła z domu i nagle odeszła w zaświaty, ginąc w wypadku pod samochodem na oczach córki w dniu 6 stycznia 1979r.

Analizy swego życia nie myślę pisać, jedynie chcę unaocznic fakt mego **sieroctwa**, które bardzo silnie zaważyło na mojej psychice w dzieciństwie, jak i w latach późniejszych. Trudno mi pisać o latach dzieciństwa w chwili utracenia moich najbliższych. Na pewno było mi łatwiej pogodzić się z faktem umierania leżących już ciężko chorych moich starszych braci a później rodziców. Miałem już wtedy 4 lata i na pewno moimi wzorcami byli bracia, z którymi się bawiłem, jak również wspólnie przeżywaliśmy tragedię głodu, wołając a nawet krzycząc **mamo jeść** a tu nie było co dać. Byli bracia a tu nagle ich nie ma w domu? Co się z nimi stało? Płacz, wielki żal i tęsknota za towarzyszami niedoli i wspólnych zabaw. Następnie za 3 miesiące musiałem przeżyć jako mały chłopiec czteroletni śmierć najdroższej mi osoby - własnej matki - która dała mi życie a później walczyła o nie jak mogła, aż na końcu sama z braku sił padła martwa.. Agonię i śmierć mamy oglądałem już tylko z ojcem, bo siostra też leżała nieprzytomna w ciężkiej chorobie. Zobaczyć płacz ojca, gdy Jemu umiera żona a wcześniej dwóch synów, może często doprowadzić dzieci starsze do powikłań psychicznych z żalu za ukochaną osobą. Na pewno byłem nie obojętny na tą tragedię odejścia trzeciej osoby w rodzinie. Co robić z tym małym Tadeuszem, żeby Go uchronić od śmierci głodowej? Taki był na pewno problem ojca! Zapisano i przyjęto mnie do miejscowego przedszkola, które w jakiś sposób uchroniło mnie od widma ciągłego głodowania a później śmierci. Chodzenie do przedszkola wcale nie oznaczało dobrobytu, lecz jedynie przetrwanie w jakichś takich warunkach.

Jeszcze dobrze mi nie ociekły łzy z bólu za braćmi w styczniu oraz za mamą w kwietniu a tu kładzie się chory do łóżka mój ojciec, jedyna podpora na przetrwanie, aby nie umrzeć z głodu. Chce bardzo jeszcze żyć, ale choroba i zniszczony organizm niewolniczą pracą w łagrze a później w lesie przy nas, musiał umierać 25 sierpnia 1942r. Wszyscy czworo najdroższych mi osób umarło, mimo walki o życie, a jednak musieli opuścić ten świat. Czy każde dziecko, nawet małe czteroletnie może obojętnie przeżyć taki wstrząs psychiczny i być normalnym w przyszłości. Ja to wszystko musiałem oglądać i przeżywać. Jak można małemu czteroletniemu dziecku wytłumaczyć, że tych bardzo bliskich mu osób już nie ma? Jest faktem, że ja tych okropności już po paru latach nie pamiętałem ale nie oznacza to, że tego nie

przeżywałem. Jednak tam byłem i na własne oczy wszystko widziałem⁴⁴. Każde wspomnienie, czy też czytanie listów mamy z Sybiru, czytanie pamiętnika mojej siostry z tych okropnych czterech lat, a następnie pisanie o tych czasach na nieludzkiej ziemi, czuję w sobie ból, jakby ponowne otwieranie ran.

Została mi jeszcze jedna bliska osoba, do której bardzo mocno przywiązałem się uczuciowo a była to moja siostra Genia. Moje rozstania z siostrą w późniejszych okresach już po powrocie do Polski było dla mnie wielką tragedią. Taki wielki żal i rozpacz był przy rozstawaniu się, gdy mnie oddawała siostra do Domu Dziecka w Świdrze k/Warszawy. Dopiero po paru dniach przyzwyczałem się do dzieci i już przestałem płakać. Coraz częściej zdawałem sobie sprawę, że Dom Dziecka musi być i jest moim domem a zwłaszcza, gdy była razem ze mną moja kuzynka Marysia Glinka. Ten nasz Dom Dziecka przeniesiono w czasie wakacji do Grażnic w woj. olsztyńskim. Szkoda, że to uczyniono, bo w Świdrze było wspaniałe powietrze. W nowym miejscu była ta sama obsługa i te same dzieci co w Świdrze. Byłem tam niecałe dwa lata i mimo to silnie związałem się z tym Domem Dziecka. Nagle wzięto mnie i zawieziono do Krakowa w marcu 1948r., gdzie czekałem w Pogotowiu Opiekuńczym dla Chłopców na swój przydział do jakiegoś Domu Dziecka w Zakopanem. Nagła zmiana środowiska, tj. jednego Domu Dziecka na drugi, bardzo źle na mnie zadziało. Byłem zupełnie wytracony z równowagi a zwłaszcza, gdy położono mnie spać po całonocnej podróży z Olsztyna. Po obudzeniu się po trzech godzinach stwierdziłem, że jestem sam w ogromnej sali wśród obcych mi ludzi i bez Pani Intendentki, z którą przyjechałem do Krakowa. Silny żal, tęsknota za kimś bliskim spowodowała silne podniecenie wyrażone przez dziecko długotrwałym płaczem. Dopiero uspokoiła mnie bardzo oddana dzieciom Pani kierowniczka tegoż Pogotowia Opiekuńczego, tłumacząc mi długo dlaczego i w jakim celu przyjechałem do Krakowa. Po raz trzeci zapamiętaną tęsknotą przeze mnie za kimś bliskim a wyrażoną płaczem, był Dom Dziecka **Anusia** w Zakopanem.

Po dwóch czy trzech tygodniach wyczekiwania na przydział, przyjechała po mnie Pani Marysia Radziszewska i zawiozła mnie do Domu Młodzieżowego **Roma**

⁴⁴ **INFORMACJA ARCHIWALNA:** W dokumentach Państwowego Archiwum obwodu archangielskiego są informacje o przebywaniu na terytorium ZSRR ob. Niebrzegowskiego Tadeusza syna Bolesława, urodzonego w 1938r. od 27 lutego 1940r. do 1944 roku. – Dyrektor Państwowego Archiwum obw. archangielskiego. Taka informacja dotyczy również mojej siostry Genowefy Niebrzegowskiej c. Bolesława. Przez niedopatrzenie, zapomniano przysłać siostrze, bo wcześniej prosiłem o takie potwierdzenie dla siebie i dla mojej siostry.

w Zakopanem, gdzie przebywała moja siostra Genia. Był to początek tygodnia tuż przed świętami wielkanocnymi pod koniec marca 1948r. i na święta za parę dni pojechaliśmy do Legnicy do naszej kuzynki Oli Mazurek a po tygodniu wróciliśmy z powrotem do Zakopanego. Zaczęła się nauka po feriach świątecznych i musiałem być odprowadzony przez moją siostrę do pobliskiego przydziałowego Domu Dziecka **Anusia** przy ulicy Grunwaldzkiej, a na bliższe przez Lipki było bardzo blisko. Po załatwieniu formalności i oddaniu skierowania z chęcią zostałem wśród dzieci i siostra mogła swobodnie odejść do swego Domu Młodzieżowego. Żal za moją siostrą poczułem dopiero po dwóch godzinach i był tak mocny, że przy silnym i zanoszącym się płaczu uciekłem z powrotem do niej. Po ponownym zaprowadzeniu mnie i może bardziej czule się mną zajęto i w miarę upływu dni i tygodni, przyzwyczaiłem się do środowiska nowego. W następnych latach byłem już coraz starszy i zmiana innego Domu Dziecka na inny już tak mocno nie wpływała uczuciowo na mnie. Często dorośli nie rozumieją tego silnego stanu emocji i przywiązania uczuciowego do kogoś bliskiego i lekceważą ten stan psychiczny dziecka. Po stracie braci i rodziców miałem prawo być do kogoś mocno przyzwyczajonym i częste zmiany Domów Dziecka bardzo źle na mnie działały. Taki sam odruch żalu i silnego płaczu działa w pełnej rodzinie w chwili pozostawienia dziecka np. w szpitalu i jak niektórzy nazywają, że jest to objaw hysterii.

Następną sprawą to dzieci bez rodziców, jak było w moim przypadku, tzw. **sieroctwo**. Był to problem po II wojnie światowej, bo bardzo dużo rodziców zginęło a pozostawione dzieci jakimś cudem udało im się przetrwać. Mowa oczywiście o tych dzieciach deportowanych z rodzinami na wschód w czasie okupacji sowieckiej. Po wojnie przyznać trzeba, że była pełna opieka państwa nad **sierotami pełnymi** i dzieci te zazwyczaj były już ukierunkowane jeśli chodzi o wychowanie. Na pewno jeszcze nie były wychowywane przez ulicę, zanim umieszczono je w Domach Dziecka. Taki stan rzeczy trwał według mnie, gdzieś do końca lat pięćdziesiątych, oczywiście z małymi wyjątkami. W następnych latach masowo zaczęli napływać do Domów Dziecka tzw. **sieroty społeczne**, które zanim trafiły pod opiekę, były już pod wpływem rodziców alkoholików i praktycznie wychowywała ich ulica. Utarła się opinia w Polsce, że **sieroty** to inny gatunek ludzi, takich niepewnych, do których trzeba podchodzić z rezerwą. Uważano, że to co jest najgorsze, trzeba przypisać **sierotom**, bo oni są niewychowani będąc w Domu Dziecka. W moim przypadku uważam, że otrzymałem pełne wychowanie pod kierownictwem wspaniałych pedagogów. Od połowy lat

czterdziestych do początkowych lat pięćdziesiątych byłem w Domach Dziecka, gdzie prowadziły siostry zakonne bezhabitowe i te w habitach - Urszulanki. Wszystkim dzieciom a zwłaszcza tym rozpieszczonym jedynakom w rodzinach pełnych życzyłbym tak dobrej opieki pod fachowym nadzorem i w duchu religijnym. Wiedząc o tym, że społeczeństwo ma zły stosunek do tych dzieci **sierot** a później do wychowanków Domów Dziecka, to nigdy nie przyznawałem się, że kiedyś tam byłem. Jak coś się zrobiło złego - nie pomyśli tych niby dobrze wychowanych - to mówiono **a bo on czy ona byli w Domu Dziecka**. Natomiast, gdy stwierdzono, że ten był wychowanek Domu Dziecka ma dużo zalet, to często nawet dziwowano się i mówiono **jak to jest, że będąc w Domu Dziecka jest wychowany tak dobrze**. Te wszystkie racje czy też uwagi, o których piszę to osobiście sam odczuwałem na sobie i dlatego coś niecoś na ten temat wiem. Przeważnie tą mylną i nieuzasadnioną opinię o prawdziwych **sierotach** twierdzili ci, którzy sami byli źle wychowani i pretensje mieli niewiadomo do kogo.

Ostatnim zagadnieniem odnośnie byłych dzieci bez rodziców tzw. **sierot**, to sprawa ich startu do samodzielnego życia. Wiadomo, że wojna dużo złego zrobiła, jedni stracili dzieci, inni swoich braci i siostry, albo też jak było w moim przypadku straciłem dwóch braci i oboje rodziców w przeciągu 6 miesięcy w 1942r. Młodemu człowiekowi, gdy kończyła się bytność w Domu Dziecka to praktycznie jego start życiowy zaczynał się od zera. Moja siostra, gdy zaczęła pracować w maju 1950r. była tylko w jednej sukience, bez mieszkania i żadnych środków do życia. Mieszkało ich trzy panienki **sieroty** w jednym wynajętym pokoju w internacie. Później dostała siostra pokój u siebie w pracy razem ze starszą Panią kucharką. Dopiero po dwóch latach przydzielono Jej pokój samodzielny kwaterunkowy z używalnością kuchni po nauczycielce Pani Jadwidze Gross, która wyprowadziła się do swego wybudowanego domu na Krzeptówkach w Zakopanem. Dopiero po 7. latach stać siostrę było na kupno mebli do pokoju i kuchni. Pracowała od rana do wieczoru a przy tym jeszcze się uczyła. Czy można porównać ten start życiowy mojej siostry do dziecka, które ma rodziców? W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych już lżej było **sierotom**, bo dawano im od państwa samodzielne mieszkania.

Jeśli chodzi o mnie, to było mi trochę lżej niż siostrze, bo miałem oparcie w niej. Dzięki siostrze mogłem jeździć na wakacje i święta do rodziny ojca i matki za Jej pieniądze. Rodzina zbytnio nie przejmowała się moim **sieroctwem** bo wiedzieli, że

mam oparcie w Domu Dziecka i mojej siostrze. Czasem niektórzy z rodziny zainteresowali się i zapytali czy mam pieniądze na powrotną drogę do domu. Przeważnie miałem na powrót i wtedy byli spokojni, że nie muszą dawać tych parę złotych na pociąg. Uczuleni na **sieroctwo** i związaną z tym nędzą, byli ci z rodziny, którzy najmniej mieli a jednak potrafili się podzielić. Czy należy się dziwić tej obojętności rodziny po wojnie, która w czasie trwania wojny nie było stać na pomoc samotnej matce tych **sierot**, które cudem ocalały od śmierci głodowej. Takie sknerstwo dotyczy oczywiście jednakowo rodziny ojca jak i matki. Dzięki mojej siostrze nie odczuwałem dużego dystansu do młodzieży, którzy mieli rodziców a niekiedy miałem więcej od naprawdę biednych chłopaków, którzy byli razem ze mną w szkole średniej. Gdy już szkołę ukończyłem to dostałem małą wyprawkę z Domu Dziecka, tj. dwie zmiany bielizny pościelowej, kołdrę, poduszkę i koc. Mimo wszystko musiałem później liczyć tylko na siebie, bo nie miałem rodziców, aby mogli dołożyć do życia, by móc przetrwać do następnego pierwszego. Taki właśnie jest los **sieroty**, który od początku do końca życia przegrywa z ludźmi z rodzin pełnych, gdzie rodzice robią wszystko, aby ich dzieciom było łatwiej.

Kraków, dnia 15 maja 2002 roku